Biblioteka
U. M. K.
Toruń

253870

4784.

Stary Kawaler.

474

STARY KAWALER.

Komedya w 4ch aktach, prozą

PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.

Z KSIĘGOZBIORU LEMAŃSKICH

ŻYTOMIÉRZ.

Nakładem księgarni Jana Hussarowskiego.

1860.

Pozwala się drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy. Kijów, 1860 roku, marca 20 dnia.

Cenzor *Orest Nowicki.*

253870

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

W Drukarni i Litografii A. Kwiatkowskiego i Komp. w Żytomiérzu.

Osoby:

Anastazy Kątowicz, b. major . . . . pan *Żołkowski.*
Doktor **Bańkowski**, sąsiad i przyjaciel majora . . . . „ *Bogusławski.*
Jagnicki, ekonom majora . . . . . . „ *Rychter.*
Podsędkowa **Gryzmolska**, } str. siostry majora pani *Dutkiewiczowa.*
Jagniszka Kątowiczówna, } „ *Kurcyusz.*
Julija . . . . „ *Ziemińska.*
Marcin, stary sługa majora . . . . pan *Panczykowski.*
Józefowa Ładowska, klucznica majora pani *Mazurowska.*
Walery . . . .

Scena w Kątach wielkich, wsi majora.

Z KSIĘGOZBIORU LEMAŃSKICH

AKT 1szy

(Pokój Majora. Z lewéj strony widzów stół, przy nim ku środkowi sceny duży fotel i pare krzesełek; z prawéj strony bióro Majora, przy niem krzesełko. Daléj cokolwiek mebli. W tylnéj kurtynie z lewéj strony widzów drzwi do sali, z prawéj drzwi wchodowe do przedpokoju. W prawéj kulisie, bliżéj bióra drzwi do sypialnego pokoju Majora, w lewych kulisach okno na ogród.)

Scena I.

(Marcin ze szczotką w ręku, ze scierką przez ramie, stoi bliżéj bióra; Major w szlafroku i czapeczce wychodzi ze drzwi do sali, które przymyka.)

Major (patrząc w okno d. s.)

Pewnie poszła do kląbów, które powierzyłem jéj staraniu. Zostawiłem, tak jak wczoraj, umyślnie drzwi do ogrodu otwarte, aby się domyśliła, że wejść można. — (postrzega Marcina) Przygotowałeś mi wszystko w sypialnym pokoju do ubrania się?

Marcin.

A jest, proszę Wgo pana. Czy posłużyć Wmu panu?

MAJOR.

Żołnierz ubiera się sam.—Sprzątaj sobie.—A do ogolenia się jest?

MARCIN.

Jest wszystko. Ale W[ny] pan golił się wczoraj.—

MAJOR (krzywi się i pociera ramie.)

Musi być które okno nie przymknięte, albo drzwi do przedpokoju.—Obacz bo coś ciągnie.

MARCIN.

Et! to się tak W[mu] panu zdaje. Wszystko pozamykane. Chyba że W[ny] pan parapetowych drzwi nie zamknął, tak jak wczoraj. (idzie ku drzwiom sali.)

MAJOR (serjo.)

Niech tak zostaną.— (po chwilce) Słuchaj no!

MARCIN.

Co W[ny] pan każe?

MAJOR (troche zaambarasowany.)

Jeśliby tu przyszła pani....

MARCIN (z domysłem.)

Pani Krzepicka, siostrzenica Ekonoma?

MAJOR.

To poprosisz niech tu zaczeka, ja zaraz przyjdę. A miéj świeżą wodę i szklankę na róże, które przyniesie. (wchodzi do pokoju na prawo.)

MARCIN (sam.)

Ba, ba, ba.—Róże różami,—a kobieta co ma oczki jak ciareczki, a uśmiecha się tak, że aż do serca idzie — ta taka dobra jak róża albo jeszcze i lepsza.— Przytém wdówka i ponoś tylko dwadzieścia dwa lat! (uśmiechając się) No, no, coś ja tu miarkuję.—Nasz pan choć już stary, i boi się przeciągów i swędu z węgli, ale tu jakiś strasznie odważny. Powiedziałbym mu: ostrożnie z ogniem! ale co mi tam! (przykłada rękę do okna) Skąd tu jemu cug wziął się, kiedy okna tak przystają, jak powieka do powieki, kiedy człek łyknie i śpi jak zabity. Już to on tak i zginie z témi chimerami. Jak go coś zaświdruje w kolanie albo w ramieniu, to zaraz krzywi się i gdérze, że drzwi nie zamykamy. Jak zmiarkuje, że samowar się nastawia, ehe! to już i kręci nosem i udaje że niby swąd, i za głowę się chwyta, jakby miała pęknąć. Prawda ciężko z nim czasem, jak zwyczajnie ze starym kawalerem;— ale co to za serce, co to za panisko! Jak to dba o ludzi, którzy mu służą, a jaki czasem wesoły i figlarz, jakie sztuczki płata klucznicy naszéj, że pani Józefowa się gniewa, a ja się w duchu śmieje.

(Józefowa wchodzi.)

Scena II.

MARCIN i JÓZEFOWA.

JÓZEFOWA (niesie talérz nakryty dr. tal.)

Z czego się śmiejesz?

MARCIN.

Eh! nie, ja tak sobie sprzątam.

JÓZEFOWA.

Sprzątasz i gadasz, jak zawsze. Robota robi się rękami, a nie językiem.—Gdzie pan?

MARCIN (ukazując na sypialny pokój.)

Pst! jest tam. Ale niechno pani Józefowa zamyka drzwi, bo będzie cug.

JÓZEFOWA.

Czy i ty już nauczyłeś się chimer od pana. Już mi te cugi tu stoją. Pójdę do niego.

MARCIN (zatrzymując ją.)

Lepiéj niech pani Józefowa postawi tu, co przyniosła, i nie idzie, bo zły.

Józefowa (stawia talérz.)

Chciał kaszki, i słowo stało się ciałem, ot i kaszka, a jego niéma. A potém będzie gdérać, że zimna, że gęsta, że na niéj jakaś skorupa. I gotów nie jeść choć głodny, byle tylko pokazać, że o niego nie dbamy. Cóż on tam robi?

Marcin (filuternie.)

Goli się, choć wczoraj golił. Chce się odmłodzić!

Józefowa.

Odmłodzić? t'fu! a to na co?—czy do kaszki.

Marcin.

Gdzietam do kaszki.

Józefowa (kręci palcem).

Coś tobie!... Ale tu doprawdy skądciś wieje. (zagląda przez drzwi do sali.) Chryste Jezu! drzwi na ogród otwarte... Otożby dopiéro było krzywienia się, łapania się za ramie i za kolano, i gadania, żeśmy mu wszystkie romatyzmy wpakowali w ciało, jakie są w aptece. Pójde zamknę.

Marcin (zatrzymuje ją.)

Niech pani Józefowa nie zamyka. Pan sam otworzył, i nie kazał zamykać.

JÓZEFOWA.

Chyba na to, żeby potém na nas zwalił, że mu cugi robimy.

MARCIN.

Et! gdzietam. Jemu teraz inne cugi przeciągają przez głowę. Już ja to miarkuję. IMć pani Józefowa musi także troche miarkować, na co się zanosi, tylko nic nie mówi.

JÓZEFOWA.

Co ty pleciesz?

MARCIN.

Nie plotę, a mówię to, że tam ta młoda wdówka z folwarku poszła do pańskich róż; pan to widno obaczył, sam otworzył drzwi i tak zostawił, czy nie wleci ptaszek do otwartéj klatki, jak to się zdarza czasem z kanarkami kiedy dobrze przyswojone.

JÓZEFOWA.

Co tobie w głowie stary wściubski!— Człowiek schorowany, raniony, któremu szósty krzyżyk za pasem, myślałby o takich głupstwach? Wielka rzecz, że dla niéj grzeczny, że lubi z nią pogadać, że jéj podziękuje, że koło jego róż chodzi, jak koło własnych dzieci. I za to książki jéj nosi i czasem posłucha jak ona mu czyta. Wszak ona już trzy przeszło miesiące u wujaszka swego siedzi, a ja nic takiego nie widziałam co tobie uroiło się.—

MARCIN.

Gdzietam uroiło się.

JÓZEFOWA.

Nie krzywdź no uczciwéj kobiéty, bo choć ona młoda i ładna, ale uczciwa. To jéj z oczu patrzy.

MARCIN.

A jednakowo do pana uśmiecha się, przymila mu się jak może, sama podléwa pańskie róże i od niejakiego czasu przynosi mu tu na dobrydzień najpiękniéjsze, i czyta mu czasem takim głosem, że mnie samemu nieraz, jak to słyszę, to choć nie rozumiem, a miło się robi i płakać się chce.

JÓZEFOWA.

Coś ja uważam, że tobie coraz gorzéj klepki mieszają się we łbie.—Niby to co złego, że krewna wdzięczna panu za to, że z jéj wujaszkiem obchodzi się tak, jak by nie był jego sługą, ale przyjacielem. Prawda i to, że Jagnicki taki ekonom, jakiego drugiego i ze świécami poszukaj, to nie znajdziesz. Jeszcze nie całe trzy lata jak tu jest, a co zrobił z dobrami, co były zapuszczone i nigdzie ładu. Wierny on panu i kocha go, bo kto go niekocha, choć czasem ma chimery, co kością w gardle staną człowiekowi. Ale Jagnicki stary szlachcic, i nie bój się, niech no by

zmiarkował, że pan co złego zamyśla względem jegó krewnéj, którą także kocha i przy sobie utulił, toby mu tak zaśpiewał, że pan choć żołnierz, zapomniałby o wszystkich przeciągach, i swąd z samowara nie przyszedłby mu do głowy.

MARCIN.

Kiedyż bo pani Józefowa dużo gada, a wszystko nie to, co ja miarkuję.—

JÓZEFOWA.

A cóż ty miarkujesz?

MARCIN (konfidencyonalnie.)

Ja miarkuję po prostu to, że pan chce z tą wdówką... ożenić się.—

JÓZEFOWA.

Alboś ty zwarjował albom ja głupia i ślepa i nic już nie widzę.

MARCIN.

Mnieć się zdaje że pani Józefowa nie głupia, ale już trocha przyślepła. Bo co ja widzę, to widzę, i powiadam pani Józefowéj, że się tu zanosi na ślub— i basta. Czy potém będą i chrzciny, to jeszcze widłami pisano.

JÓZEFOWA.

T'fu! t'fu! człowiek, któremu pięćdziesiąty siódmy rok się kończy, żeby myślał o żonie?! A toż by już był koniec świata.

MARCIN (filuternie.)

A żeby pan, naprzykład, pomyślał o pani Józefowéj i powiedział: moja Ładosiu, służysz mi wiernie już blisko dwanaście lat pielęgnujesz mnie schorowanego i starego; starasz się, żeby węgle były zawsze dobrze wypalone, żeby okna i drzwi były pozamykane; dajesz mi zawsze świéże masło do kawy i nie przydymioną śmietankę; jesteś jeszcze przystojna moja Ładosiu, a choć masz także siwe włosy, to jakoś umiesz dobrze je chować pod czepcem. To wtenczasby pani Józefowa niepowiedziała, że to już koniec świata.

JÓZEFOWA (która słuchała z uśmiechem.)

Głupiś ty.—To co innego.—Wieleż to razy starzy kawalerowie żenią się z wierną sługą, co ich pilnowała, jak oka w głowie. Nie jedna klucznica wyszła tym sposobem na panią, i nie jedna kucharka przeszła od rądla w kuchni do piérwszego talérza przy stole pańskim. Ależ tu nie byłoby ani grzechu ani śmiechu. Ja wiedziałabym, czego się mam spodziewać i mnieby on nie zawiązał świata, a ludzie nie śmieliby się, ani z niego ani ze mnie. Bo ludzie wiedzą, że to taki

najczęściéj koniec starych kawalerów, a o mnieby powiedzieli, żem miała rozum, żem zapewniła sobie kawałek chleba do śmierci. — Ale tu? — dwudziesto dwu letnia kobiéta!—t'fu miałżeby on sumienie?

MARCIN.

A cóż? w starym piecu, mówią, diabeł pali.

JÓZEFOWA.

Et! kiedy stara baba oszaleje, to wtedy diabeł pali; ale kiedy stary dziad zwarjuje, to już w takim piecu i diabeł nie potrafi napalić. Przestań no gadać takie nic do rzeczy, za które pan może się rozgniewać, jak by się dowiedział; a lepiéj pomyśl jak by nam naszego panicza odszukać, i jakby trafić do serca i humoru naszego pana, żeby mu przebaczył. Biedne chłopczysko! kochany Walerek! Oj! żebym ja tych sowizdrzalów i utracyuszów warszawskich,—co poczciwego i łatwowiernego chłopca w swoją kompanią wzięli i zgubili, dostała do swoich rąk, mieliby się z pyszna.—A frygi wymalowane i mizdrzące się, co go zwabiły...

MARCIN.

Nie gadaj no pani Józefowa o tém, to już napróżno. Pan Walery kochany chłopiec, wyrósł pod naszem okiem, i jabym sobie dał oko za niego wykłuć, ale taki winien. Jak to można sierocie zapomnieć

o dobrodzieju, który go przygarnął, wychował, wyedukował, pokochał jak syna i miał przyznać go za syna, i dać się złapać szulerom, łajdakom i łajdaczkom, rozhultaić się i na końcu ożenić się z jakąś tam... t'fu!—to i jabym się rozgniewał, choć nieraz jak mi się przyśni, to dalibóg płaczę.—Panu o nim ani wspominać, tem bardziéj teraz, kiedy mu ta wdówka zajechała w głowę.

JÓZEFOWA.

Ty bo taki wracasz do swego.

MARCIN (konfidencyonalnie.)

Nim pan wyjdzie, ot, ja powiém pani Józefowéj co ja sobie zmiarkowałem. Tu jest nie tylko to, że pan gniewa się na panicza.

JÓZEFOWA.

No, i cóż jeszcze?

MARCIN.

Pan chce jeszcze figla wypłatać tym swoim ciotecznym, czy tam stryjecznym siostrzyczkóm, co najwięcéj gniew jego na pana Walerego rozdmuchały, i już pewne, że po nim dostaną sukcessyą.—

Józefowa.

Oj! żeby tak było, to już bym wolała, żeby panu i takie głupstwo przyszło do głowy.—Bo dalibóg, że ta pani podsędkowa Gryzmolska, co jak tu przyjedzie, to się tak rządzi jak szara gęś po niebie, tu mi już stoi; a ta panna Jagniszka, co się jeszcze chce wydać za mąż! t'fu!

Marcin.

Otoż to widzi p. Józefowa, już ja to miarkuje, jakiém okiem i pan na nich patrzy, jak tu przyjadą, i sznurują po wszystkich kątach, jakby to było ich, i jakby się chciały przekonać, czy pan czego nie przedał, albo komu nie darował, że im będzie mniéj— Widzi on to dobrze, że one mu nadskakują, nie dla niego, ale dla jego majątku, który dzięki Bogu piękny; i że chciałyby już iść ze świecą za jego trumną, żeby to wszystko zagarnąć. A jak się ożeni z tą śliczną wdówką, to im będzie figa! A i nam będzie lepiéj.— To kobiécina poczciwa i dobra; a jakby broń Boże tamte przyszły tu do gospodarstwa, ehe! bywaj zdrów holenderski śledziu! stary Marcin, za pietnaście lat służby, poszedłby z torbą pod kościoł, a p. Józefowa także, za tyle lat starania i pilnowania pana, musiałaby związać węzełek, i fora ze dwora.

Józefowa.

A niedoczekanie ich żeby do tego przyszło.

MARCIN.

Oj! przyszłoby pewniusieńko.—Ale cicho! Pan idzie, i patrz p. Józefowa, jaki wystrojony.—

JÓZEFOWA.

A prawda. Chryste Jezu! może jemu i doprawdy głupstwo to zajechało w głowę.

(Wchodzi MAJOR, starannie wygolony, biała chusteczka na szyi, kałnierzyki mocno nakrochmalone, siwe bakenbardy zakręcone, a siwe włosy naczesane na łysinkę, i niby podfryzowane.—Nankinowe spodnie i kamasze.—Tużurek, a w petlicy różyczka.)

Scena III.

MAJOR, MARCIN, JÓZEFOWA.

MAJOR (idzie prosto do drzwi sali i zagląda tam, potém zamyka drzwi—d. s.)

Niéma jéj i niéma bukietu. Widać nie była wcale.—A miałem przeczucie, że przyjdzie.—(do MARCINA) Czy nie był tam nikt w sali?—

MARCIN.

Nie było żywéj duszy, proszę W^{go} pana.

MAJOR (troche niekontent.)

Znowu tu skądciś ciągnie. Po kościach mnie łamie. Nie można was uprosić, żebyście pilnowali.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Józefowa.

Chryste Jezu! Pan sobie sam przeciągi robi i drzwi zostawia otwarte, a na nas gada, że nie pilnujemy. Już nie wiem czy kto więcéj stara się i rozbija, żeby było wszystko, jak W^ny^ pan lubi.—Ale jeszcze się ten nie urodził, coby panu dogodził. Ot i teraz, przyniosłam kaszkę, którą W^ny^ pan kazał na śniadanie.— A czy to ja winna, że zastygła i zeskorupiała?

Major.

Bo trzeba było zaczekać, aż każę podać.—Ale u was wszystko, albo za wcześnie, albo za późno.— Weź ją sobie, już jeść nie będę.—

Józefowa.

Toż mi pilno było tak się śpieszyć, żeby potém wyrzucić! Oj podobno to panu nie jeść się chce, ale czego innego.

Major (z uśmiechem klepiąc ją po ramieniu.)

No, no, nie gniewaj się moja Ładosiu! może ty i prawdę mówisz, że mi się teraz nie jeść chce.— (pogląda ku drzwiom sali).

Józefowa (kiwając głową i poglądając na Marcina, który się uśmiecha n. s.)

Chryste Jezu! komu tu świat gubić.

MAJOR.

Cóż tak kiwasz głową Ładosiu!

JÓZEFOWA (ruszając ramionami.)

Nic, patrzę tylko, że się W^ny pan tak wystroił. Chyba będą goście.—To niech pan powie! Może co dodać do obiadu?

MAJOR

Nie będzie nikogo, tylko zapewne p. doktor Bańkowski przyjedzie.—Ale dla niego dodatków nietrzeba.—A jakaś ty dziś ładna, moja Ładosiu! (Marcin śmieje się w kułak).

JÓZEFOWA.

Et, nie gadałbyś W^ny pan niewiedzieć co. Wiem ja o tém dobrze, żem stara i nie ładna.—Ale W^ny pan co był niedawno taki słaby, że posłał po pana konsyliarza, dziś jakiś taki, że W^mu panu podobno nie takiego trzeba lekarstwa, jakie pan Bańkowski przepisze.

MAJOR (głaszcząc ją pod brodę.)

No, no, idź już Ładosiu! idź! A dopilnuj tam żeby mi gdzie swędu nie narobili z węgli, bo mię zabijecie.

JÓZEFOWA (bierze talérz.)

Masz tobie! Pan znowu swoje (n. s)—Nie dałabym za to trzy grosze, że Marcin dobrze zmiarkował.— Panie odpuść! (odchodzi).

MAJOR (spojrzawszy na drzwi do sali— do Marcina.)

Zawołaj mi Jagnickiego, jeżeli jest w domu.

MARCIN (n. s.)

Jak nas wyprawia, żebyśmy mu nieprzeszkadżali, jak przyjdzie synogarliczka.—(zagląda do okna.)

MAJOR.

Cóż ty tam zaglądasz, a nie idziesz?

MARCIN.

Już idę, proszę Wgo pana; a spojrzałem tylko, bo tam coś bieleje pod lipą.— (odchodzi z filuterną miną.)

Scena IV.

MAJOR (sam—idzie spiesznie do domu i patrzy.)

Gdzie ten stary głupiec widział coś białego?—

Pod lipą niéma nikogo i tam sukienka jéj nie błyszczy.— (odstępuje) — Stary? — kto stary? — ba nie tylko on. — A głupi kto? — także podobno nie on. — Są głupsi od niego.—Pięćdziesiąty siódmy rok, a jéj dwadzieścia dwa. — Dwadzieścia dwa od pięćdziesięciu siedmiu,... fe! — do diabła! — to każdy żak z piérwszéj klassy wié, że jest trzydzieście pięć: fatalna różnica! — A jednak ta kobiéta z głowy mi wyjść nie może. I nie tylko z głowy, ale i tu, tu jest coś, co mnie do niéj pociąga, co mnie wzrusza do głębi duszy, gdy na nią patrzę. — (po chwili) Tak, to to, nic innego. — Podobna do tamtéj, a tamtę w onę czasy tak serdecznie kochałem.— Podobieństwo zrodziło sympatyą, z sympatyi zrodziła się miłość, a z miłości zrodzi się... co? — Naturalnie, tylko głupstwo, kiedy jest trzydzieście pięć lat różnicy. (siada) Ale czy tylko pewnie trzydzieście pięć?— Zaraz. Rodziłem się w roku 1797$^{m.}$ — Teraz mamy 1853$^{ci.}$ — Siedem od trzynastu sześć, dziewięć od cztérnastu pięć... a więc jest pięćdziesiąt sześć, a nie pięćdziesiąt siedem. — Po cóż ja sobie, u diabła, cały rok przydaje? — Co za głupstwo! — Rok w moim wieku to nie bagatela. — To daje różnicę nie trzydzieście pięć, a trzydzieście cztéry. — A to już nie jest tak wiele. *Nil desperandum!* panie Anastazy! — jakoś to będzie... znajdzie się wszystko. — (Słychać za sceną śpiewkę) To jéj głośik! (powstaje prędko i znowu siada, chwytając się za kolano) A! a! — niech że to diabli wezmą! — ten przeklęty romatyzm! Ale może to mi tylko scierpła noga, bo

tak jakoś w sobie jestem zdrów i silny. (powstaje i mocując się idzie ku drzwiom sali, które otwiera, z uśmiechem do siebie) Jest! (głośno) proszę, proszę (wchodzi Julija, trzymając kilka róż w ręku.)

Scena V.

Major, Julija.

Dobrydzień panu majorowi.

Major.

Dobrydzień!! dobrydzień! Oh! jakież cudne róże! proszę mi pozwolić ucałować tę rączkę, co się może zakłuła, składając dla mnie tak miły podarunek.— (chce wziąść jéj rękę — ona cofa się i spuszcza oczy). No, no, dla czegoż tak bojaźliwie? (posuwa się ku niéj żywiéj i chwyta się za kolano) A!

Julija.

Biedny pan major z tym romatyzmem! jak on musi dokuczać!

Major (mocując się).

O nie, wcale nie.—To nawet nie romatyzm.—To musi być proste zawianie. (oglądając się na drzwi) zapewne gdzie drzwi nie zamknęli.

JULIJA.

Ach! Boże mój! to ja tak rozstrzepana.— Nie zamknęłam drzwi od ogrodu i sprawiłam p. majorowi ból, że aż pobladł. (składa ręce i patrząc nań z miłością). Przepraszam drogiego pana majora za tę chwilę nieuwagi. (oddaje mu róże.) Ale proszę potrzymać zaraz poprawię się. (wybiega do sali)

MAJOR. (sam).

Otoż to słodka troskliwość! domyślność serca! opieka miłości! żeby to takiego anioła stróża mieć przy sobie. Jakiém ona okiém patrzyła na mnie w téj chwili? co tam wyrazu, co czucia! nawet śliczna łezka błysnęła tam, jak brylant. Nie, to widoczne, to niemoże być inaczéj.— Szczęśliwy p. Anastazy! ona cię kocha! a! a! (chwyta się za kolano i idzie kulejąc do fotelu i siada).

JULIJA. (wraca).

Już teraz wszystko pozamykane; może być pan major spokojnym.

MAJOR.

Dziękuję ci, droga pani, za tę troskliwość. Już przeszło, już mi teraz dobrze. Ale proszę tu usiąść przy mnie.

JULIJA (siadając)

Może p. major każe sobie co przeczytać?

Major.

O nie, nie—lepiéj pogadajmy. (chce wziąść jéj rekę).

Julija (cofając rękę i ukazując mu na świat.)

Czy uważa p. major, jak piękne tu są exemplarze? Proszę spójrzeć na tę *królowę*, jaka pyszna—? a ta *bella de Baltimore* jaka puszysta i jak błyszczy kolorem. Obie dziś widać rozwinięte, kiedyśmy jeszcze spali. Zerwałam je umyślnie nim nadwiedną; bo róże, im piękniejsze, tém prędzéj więdną i opadają. Niestety! tak jak kobiéty.—

Major (przerywając.)

Jeżeli piękna dusza nie przeciąga kwitnienia pięknéj twarzy, tak jak to będzie.....

Julija (zamawiając.)

Proszę patrzéć, na niektórych są jeszcze krople rosy, których słońce w cieniu listków nie znalazło. Otoż, żeby donieść je p. majorowi z temi łezkami, co je tak zdobią, przyszłam nieopowiadając się nawet.— Ale drzwi od sali były otwarte, sądziłam więc, że p. major już ubrany, i gniewać się na mnie za to niebędzie.

Major.

Jabym się miał gniewać, żeś pani tak dobra,

i tak o mnie pamiętasz? Oh! droga pani! proszę być względem mnie sprawiedliwszą. — Pani widzisz to zapewne, jak mnie szczęśliwym czyni jéj obecność, jak wdzięczny jestem za każdą chwilkę.

JULIJA (składając ręce.)

P. major wdzięczny? mnie? czyż ja na to zasłużyłam? To ja powinnam być wdzięczną, za tę dobroć, jaką pan major okazuje i mnie i wujowi memu. Prawda, że wujaszek służy panu majorowi całém sercem, że się stara, aby się nic z dobra jego nieuroniło, i może zasługuje na tę łaskawość, z jaką się pan major z nim obchodzi. Ależ ja? cóż ja robię? Że chodzę troskliwie koło tych ślicznych kwiatów, które pan major tak lubi, i których piękną kolekcyą mnie powierzył?—czyż to zasługa? — To i dla mnie przyjemność, bo i ja także jestem amatorką i lubię wszystkie kwiaty, a szczególnie te, co najpiękniejsze ze wszystkich, i najmilsze człowiekowi, w którego domu tak mi dobrze i którego.... (zatrzymuje się patrząc mu w oczy.)

MAJOR (z uniesieniem.)

Którego kochasz? (wyciąga do niéj rękę.)

JULIJA (powstaje i ogląda się na drzwi przedpokoju.)

Słyszę kogoś w przedpokoju.—Zapewne p. major ma interesa. Niebędę przeszkadzać.

MAJOR.

Ale dokończ że..... powiedz, którego kochasz. (bierze jéj rękę i chce do ust przycisnąć.)

JULIJA (niedopuszczając.)

Którego szanuję, którego kocham z całą czcią, jaką tylko wdzięczne serce czuć może. (schyla się na jego rękę, całuję ją z uszanowaniem, czego jéj major niebroni, potém odchodząc, przy drzwiach, mówi do siebie:) O Boże! jakżem szczęśliwa! — Ach! żebym mogła upaść mu do nóg i powiedzieć wszystko. (wychodzi.)

MAJOR (sam.)

Dziwne wzruszenie! niemogę przyjść do siebie. Łzy mi się do ócz cisną. O tak, tak, ta kobiéta do szczęścia mego koniecznie potrzebna. To niemoże być inaczéj mimo pięćdziesiąt lat i łamanie kości. (wchodzi Jagnicki.) A! otóż i mój stary. Muszę się z nim rozmówić! Niéma co odkładać.

Scena VI.

MAJOR, JAGNICKI, przy końcu MARCIN.

MAJOR.

Jak się masz Jagnicki?

JAGNICKI (zbliżając się.)

Upadam do nóg Wgo pana.

MAJOR.

Cóż tam u nas dzieje się, mój Jagnisiu?

JAGNICKI.

Wszystko idzie, jak należy, Wny panie! — Ale Wny pan jakiś nakrzywiony.

MAJOR.

E, to nic, to nic — tylko bądź łaskaw zamykaj dobrze drzwi; (JAGNICKI wraca i przymyka lepiéj.) więc powiadasz, że wszystko idzie dobrze?

JAGNICKI (przystępując.)

Dzięki Bogu, Wny panie.

MAJOR.

Jak niéma iść, kiedy pilnujesz wszystkiego, jak oka w głowie. Najpierwszy wstajesz, kładziesz się ostatni, wszystko widzisz, wszędzie jesteś; to też dla tego wszędzie jest ład, każda robota idzie jak z płatka, i choć gdzieindziéj nieurodzi, grad wybije, i bydło wyzdycha, to umnie i zboża dużo, i deszcz i pogoda przychodzi wtedy, kiedy trzeba, i do obory

mojéj żadna klęska niezagląda. Dziękuję ci mój Jagnisiu.

JAGNICKI.

A czyż to mnie W^{ny} panie trzeba za to dziękowac? Wszystko to łaska Boża, a nic innego. Jakby się zdarzyć miała klęska, toby jéj staranie moje nie odwróciło. Ja robię tylko com powinien. A jeśli robię z serca i z ochoty, a nie z musu, to jużci byłby grzéch, żebym takiemu panu niesłużył sercem i niechodził koło jego dobra, jak koło własnego. Słyszę ja to nieraz, że się panowie skarżą na swoje sługi. Ale mnie się widzi W^{ny} panie, że gdyby więcéj było dobrych panów, takich, jak W^{ny} pan, toby więcéj bylo i dobrych ekonomów, takich jak ja, albo jeszcze i lepszych.

MAJOR (wstaje i kładzie rękę na ramieniu JAGNICKIEGO.)

Tak by być powinno, mój Jagnisiu! ale tak niejest. Ja i dawniéj byłem takim jak dziś, — obchodziłem się i z innemi jak z tobą, a jednakowo tamci myśleli więcéj o sobie, jak o mnie. — Odetchnąłem dopiéro, jak mi przed trzema laty przypadek ciebie zdarzył. (z uśmiechem.) Choć pamiętasz, niechętnie cię przyjmowałem, boś się jakoś sam okrutnie napraszał i jakby gwałtem chciał się do mnie dostać.—

JAGNICKI (n. s.)

Miałem ja w tém dobre racye.

MAJOR.

Widać miałeś jakieś przeczucie, że do siebie przystaniemy i nierozłączymy się, póki nas Bóg nie rozłączy.

JAGNICKI (wzruszony.)

Ja, Wny panie, niemam żadnego powodu szukać lepiéj, i proszę tylko pana Boga, żeby mi dał dosyć sił i zdrowia, żebyś i Wny pan lepszego sługi szukać niepotrzebował.

MAJOR.

Nieprzyjdzie do tego, bądź pewny, i żeby ci dać dowód jak kontent z ciebie jestem, chcę ci pensyą i ordynaryą powiększyć.

JAGNICKI.

A to na co? Wny panie.—Niech Wny pan zachowa swoję łaskę na ten czas, jak przyjdzie na mnie niemoc wieku, jak mnie choroba, albo kalectwo jakie dotknie, bo to wszystko jest w ręku Boga. Póki jestem zdrów i mogę pracować, to co mam, wystarcza mi aż nadto.

MAJOR.

Jednakże mój Jagnisiu, teraz, kiedy masz w domu

krewnę, która innych środków niema, oprócz twego przywiązania, potrzeba ci więcéj, niż dawniéj.

JAGNICKI.

Zapewne, gdyby była wymyślniejszą, byłoby potrzeba.—Ale ona przy mojéj misie pożywi się i nic dla niéj nieprzyczyniam, a na stroje niepotrzebuje. To co ma, wystarczy jéj na długo, bo umie każdą rzecz szanować.

MAJOR.

Miła to bardzo osoba, mój Jagnisiu!

JAGNICKI.

Poczciwe i wdzięczne serce, W^{ny} Panie!

MAJOR (z wzrastającem coraz zajęciem.)

Wszystko co powié, okazuje rozum i przytomność umysłu.

JAGNICKI.

Roztropna dzięki Bogu, tak wychowana, że niemyśli o fraszkach.

MAJOR.

Jak pełna wdzięku, jak umie każdego ująć.

JAGNICKI.

Dość szykowna W^{ny} panie — Choć jéj wuj, muszę to przyznać.

MAJOR.

A jakie rysy twarzy, jaki wyraz jéj oczów.— Jaka skromność przy tylu powabach.

JAGNICKI.

Bo myśli tylko o tém W^{ny} panie, żeby razem podobać się Bogu i ludziom.

MAJOR.

Szczęśliwyś, mój Jagnisiu! że masz taką pociechę w domu.

JAGNICKI (z intencyą).

O co to, to prawda W^{ny} panie.— Nie jest ona moją córką, ale kocham ją jak własne dziecko: a największém szczęściem człowieka jest dobre dziecie. Wszystko inne co ma, co lubi, czém się cieszy, sprzykrzy się i nakońcu cieszyć przestaje. Ale dziecko, które kocha, i które warte miłości, codzień nową radość daje. Z początku szczebiotaniem i swywolą, potém wzrostem i rozwijaniem się, daléj rozumem i siłą, jeżeli to chłopak dorodny i mocny, albo dobrocią i pięknością, jeżeli dziewczyna miła i wdzięczna.— A gdy starego wiek nachyla i siły opadają,

słodko mu widzieć, jak za niego pracuje syn, jak koło niego chodzi córka, miło mu wesprzeć się na ich ramieniu i tak dążyć do mogiły, dziękując Bogu, że ma komu zostawić owoc swojéj pracy, że kochająca ręka rzuci grudkę ziemi na jego trumnę.

MAJOR (wzruszony).

Daj pokój mój Jagnisiu! bo mi smutne podajesz myśli; Bóg mi dał wiele dobrego, a takiego szczęścia, o jakiem mówisz, niemam, i może go wcale mieć niebędę. Nigdym nieczuł mocniéj jak teraz, jak nienaturalnym, jak głupim i biednym jest stan starego kawalera. Kiedym wesoły, nikt mojego wesela nie dzieli; kiedym smutny, nikt nie bierze na siebie połowy mego smutku; kiedy mnie choroba złoży w łóżko, chociaż słudzy są dobrzy i troskliwi, wszystko to niejest troskliwość taka, jakąbym miał wtedy, gdyby koło mnie chodziła żona, albo córka. A jak przyjdzie pójść pod krzyżyk na smętarz, smutno pomyśleć, że to co mi Bóg dał dla tych, coby mię kochali, coby byli moją krwią i moją duszą, dostanie się złym i łakomym krewnym, któreby rade jak najprędzéj wyprawić mię na tamten świat, aby posiąść to, co im prawo po mojéj śmierci oddaje Źle to, źle mój Jagnisiu.

JAGNICKI.

Przecież i Wny pan masz takiego, coby cię ko-

chał synowską miłością, gdybyś dla niego niebył tak surowym. Pan Walery......

MAJOR (surowo).

Niemów mi o nim, to niewdzięcznik, dla którego już nic niema w mojém sercu.—Przygarnąłem chłopczynę, kiedy miał lat dziesięć, obcego mi zupełnie sierotę bez ojca i matki, bez dachu i odzienia, cieszyłem się jego figlami, jego dowcipem, jego wzrostem; pokochałem go jak własne dziecko i wszyscy go tu w domu pokochali;— łożyłem na jego edukacyą, a gdy dojrzał rozumem i wiekiem, czekałem tylko, aż będę miał lat sześćdziesiąt, których prawo wymaga, aby go przyznać za syna, bom go kochał jak syna, bom się spodziewał po nim pociechy i podpory.—A on tymczasem dostawszy się do Warszawy, wyszedł na hultaja, na szulera, zadłużył się, zaprzyjaźnił się z łajdakami, z jednym z nich uciekł, żeby długów niepłacić, i nareszcie ożenił się z jakąś miasteczkową pięknością, która łapała wielu, a któréj udało się wreszcie schwycić sowizdrzała, co sam nie wiedział, co z sobą zrobić! Nie, nie Jagnisiu! — mnie nietakiéj potrzeba pociechy. (kładzie rękę na ramieniu JAGNICKIEGO). Słuchaj no stary przyjacielu, ja chciałem z tobą otwarcie pomówić..... (MARCIN wchodzi i chrząka.) Cóż tam takiego? poco tak raptem wchodzisz? zamykaj drzwi!

MARCIN.

Pani podsędkowa i panna Jagniszka, siostry Wgo pana, już są w alei.— Jadą!

MAJOR (d. s.)

Tam do djabła! po trzech miesiącach niebytności! Jużem o nich zapomniał; a one widzę mają lepszą pamięć odemnie! Kruki zlatują się, a tu jadło dla nich jeszcze niegotowe! (głośno). Patrz że Jagnisiu! jakie to położenie starego kawalera.—Nawet bliskich krewnych niespodziewane przybycie niecieszy go, bo wié o tém dobrze, że to interes, nie miłość; że one nie jego kochają, ale to co ma i co im się po nim dostać może.—Musiał im kto spleść, że mam się gorzéj niż zwykle, że pożądany moment już blisko. Połamie trochę ich szyki.— Otwarły mi się oczy i pokaże im, że znam się na ich umizgach.— Tym czasem, mój Jagnisiu! przyjmij je tu, dajcie im najlepszy pokój i wygodę koniom; ale powiedz im żem chory, że się mam wcale źle i teraz widzieć ich nie mogę. (do MARCINA.) Idź powiedz Józefowéj, żeby obiad był porządny i obfity, żebym się za nią niewstydził. (MARCIN wychodzi.) A o tém com ci miał mówić Jagnisiu! pomówimy późniéj. (wychodzi do swego sypialnego pokoju)

JAGNICKI (sam.)

Biedny człowiek! trochę zapóźno przychodzą mu

myśli, które nieraz przychodzą starym kawalerom, jako ostatnia kara za wszystkie grzechy ich życia. Chce mu się pociechy rodziny, opieki miłości. Niewie o tém, że niepotrzebuje głupstwa robić, żeby dojść do tego szczęścia, i że już ma czego pragnie. Ale otoż zajechały i sukcessorki, prawie już pewne, że przyjeżdżają do swego. Przepraszam was moje panie! są tu bliżsi od was. Szkoda waszych zachodów i nadziei. (wchodzi p. PODSĘDKOWA i Panna JAGNISZKA, a za niemi MARCIN.)

Scena VII.

JAGNICKI, PODSĘDKOWA, Pna JAGNISZKA i MARCIN.

PODSĘDKOWA (z ironią).

A! pan Jagnicki dobrodziéj!

JAGNICKI.

Upadam do nóg pani dobrodziki.

Pna JAGNISZKA.

Gdzież pan brat?

JAGNICKI.

Pan major przeprasza, że teraz wyjść i widzieć się z paniami niemoże, bo chory. Jest źle, wcale źle.

PODSĘDKOWA.

Słyszałyśmy, że chory—i dlatego właśnie przyleciałyśmy co tchu żeby go dopatrzyć w chorobie.

MARCIN (n. s.)

I obaczyć, czy prędko wyjdzie z domu, nogami naprzód.

P^na^ JAGNISZKA.

My wiémy co to jest dozór i przychylność sług.

PODSĘDKOWA.

Tylko od przywiązanych krewnych może się spodziewać człowiek w takim położeniu téj pieczołowitości, któréj od ludzi płatnych niedozna.

MARCIN (n. s.)

Krewni płacą sobie z dołu.

JAGNICKI.

To też pan major bardzo rad z przybycia pań, i prosi żebyście się rozgościły.—Marcinie! każ rzeczy znosić i koni do stajni!

MARCIN.

A jak pan doktór przyjedzie?

JAGNICKI.

Znajdzie się miejsce i dla niego.

PODSĘDKOWA.

Czy tu często bywa p. Bańkowski?

JAGNICKI.

Różnie. Bywa tu jako sąsiad i przyjaciel, i dawny kolega wojskowy p. majora. — Ale dziś W^{ny} pan, czując się źle, posłał po niego jako po doktora.

MARCIN (n. s.)

Skąd ta raptowna choroba? — Jakiegoś im tu pan figla wyprawi.—Muszę ja to zmiarkować. (odchodzi)

JAGNICKI.

Może panie będą łaskawe pofatygują się na tamtę stronę?

P^{na} JAGNISZKA.

My pójdziemy pierwéj do pana brata.

JAGNICKI.

Pan major prosił, żeby mu teraz nieprzeszkadzać.

PODSĘDKOWA (n. s.)

Widocznie niechcą nas dopuścić.—Musi być źle.

P^na^ JAGNISZKA.

Ale tam przy nim niéma nikogo. Jest bez opieki.

JAGNICKI.

Niech pani będzie spokojna; nie zostawimy go bez opieki.

P^na^ JAGNISZKA (n. s.)

Oczewiście ten stary ma jakieś plany względem swojéj siostrzenicy. — Musi to być prawda, cośmy słyszały.— (głośno.) Pan Jagnicki niema czasu opiekować się chorym.

PODSĘDKOWA (złośliwie.)

I dobrzeby zrobił, żeby się pilniej zajmował tem, co właściwie należy do ekonoma. Od trzech miesięcy, jakiém tu niebyła, postrzegam, że gospodarstwo w widocznym jest upadku.

JAGNICKI.

Doprawdy? — A skądże to W^na^ pani wnosi?

PODSĘDKOWA.

Widziałam trzodę dworską na wygonie, na którym niéma paszy.—To niedozór.— Powiem to memu bratu, bo mię to obchodzi.

P^na^ JAGNISZKA.

I bardzo nas obchodzi.

JAGNICKI.

Dlaczegoż to panie dobrodziki ma tak bardzo obchodzić?

P^na^ JAGNISZKA (ze złością.)

Czy dla téj, czy dla innéj przyczyny nas to obchodzi, dość, że się w to wdamy.

PODSĘDKOWA.

A w Bukówce mego brata, przez którą teraz przejeżdżałyśmy, stary dwór wali się. A p. Jagnicki niekaże go reperować.—

JAGNICKI.

Bo tam dwór niepotrzebny i szkoda kosztu na reperacyą.— W^ny^ pan z mojéj rady kazał go rozebrać. Co też wkrótce nastąpi.—

PODSĘDKOWA.

A gdzież mój syn będzie mieszkał jak się ożeni?

JAGNICKI.

Alboż syn pani miał mieszkać w Bukówce? —

O tém nic niewiedziałem. — P. major niewspomniał mi o tém ani słowa.

PODSĘDKOWA.

Jak to możé być, żeby niewspomniał, kiedy pisałam do niego przed kilku tygodniami, że mój syn właśnie dla tego porzucił szkoły w Marymoncie, że się chce żenić, i prosiłam go ażeby mu Bukówkę wypuścił w dzierżawę. —

JAGNICKI (z uśmiechem.)

To może dla tego W^ny^ pan kazał dwór stary rozebrać.

PODSĘDKOWA (rozgniewana.)

To nieprawda! Mój brat wié o tém, że czy pierwéj czy późniéj, to Bukówka mego syna nieminie.

JAGNICKI.

Tego nikt niewié, pani dobrodziko, co kogo minie a co nieminie. Człowiek wie tylko, że go śmierć nie minie, a właśnie o tém najmniéj myśli.

P^na^ JAGNISZKA.

Obejdziemy się bez morałów.

Podsędkowa.

Lepiéj by p. Jagnicki zrobił, żeby panu swemu źle niedoradzał, bo te rady nieudadzą się.

Pna Jagniszka.

I żeby nienabijał głowy ani sobie, ani tym, co go zbliska obchodzą, a niedawno tu zjawili się z takiémi projekcikami, z których niebędzie nic. Bo są tacy, co już o nich wiedzą i co je zniweczą,

Podsędkowa.

Chodź Jagusiu! [Mój instykt mnie niezawiódł.— Dobrze żeśmy przyjechały. (do Jagnickiego.) Nasza bytność przyda się tu, przyda.

Pna Jagniszka.

Mówiłam, że mam przeczucia. I sprawdziło się.— Ale to nic. (do Jagnickiego.) Mamy my oczy. Proszę o tém pamiętać. (wychodzą.)

Jagnicki (sam — patrzy za niémi i zaczyna się śmiać.)

Powarjowały baby! (po chwili) Dobry wasz instykt, niezłe przeczucia;—ale taki sprawa Julki i Walerka lepsza, i mam nadzieję, że mi Bóg dopomoże. — (wychodzi, zasłona spada.)

PODSĘDKOWA.

Lepiéj by p. Jagnicki zrobił, żeby panu swemu źle nie doradzał, bo te rady nieudadzą się.

Pani JAGNISZKA.

I żeby niezabijał głowy ani sobie, ani tym, co go zbliska obchodzą, a niedawno tu zjawili się z takiemi podejrzeniami, z których niebędzie nic. Bo są tacy, co już o nich wiedzą i co je zniweczą.

PODSĘDKOWA.

Chodź Jagusiu! Mój instykt mnie niezawiódł. — Dobrze żeśmy przyjechały. (do Jagnickiego) Nasza bytność przyda się tu, przyda.

Pani JAGNISZKA.

Mówiłam, że mam przeczucie. I sprawdziło się. — Ale to nic. (do Jagnickiego) Mamy my oczy! Proszę o tém pamiętać. (wychodzi)

JAGNICKI (sam — patrzy za niemi i zaczyna się śmiać)

Powarjowały baby! (poważnie) Dobry wasz instykt, niezłe przeczucia; — ale taki sprawa Julki i Walerka lepsza, i mam nadzieję, że mi Bóg dopomoże. — (wychodzi, zabiera zegarek)

AKT 2^{gi}

(Miejsce w ogrodzie pod dużemi drzewami.)

Scena I.

PODSĘDKOWA i MARCIN.

PODSĘDKOWA *(wchodząc spiesznie i cglądając się.)*

Słuchaj no, mój Marcinie.

MARCIN *(idąc za nią.)*

A co W^{na} pani każe?

PODSĘDKOWA *(staje.)*

Ty wiesz dobrze, jak ja kocham mego brata?

MARCIN.

Eh! proszę $W^{néj}$ pani, ten byłby głupi, ktoby nie miarkował, jak W^{na} pani kocha p. majora *(n. s.)* i jego

propinacyą, czynsze, pańszczyzny i inne rzeczy, które jego są.

PODSĘDKOWA.

Widzisz także i to, jak ja pragnę, żeby mój brat miał pokój zupełny.

MARCIN. (n. s.)

I co najprędzéj pokój wieczny. (głośno.) Któż tego niewié, proszę W^éj^ pani? Ale czy to tylko W^na^ pani kocha p. majora — i pragnie, aby przy swojém zdrowiu był spokojny i niemiał żadnego kłopotu.— Nie chwaląc się i ja także kocham p. majora i służę mu wiernie, choć czasem chimeruje, kiedy mu co dokucza.

PODSĘDKOWA (n. s.)

Muszę go ująć. Inaczéj niedowiem się prawdy, bo oni tu wszyscy są pewnie w zmowie. (głośno.) Wiem ja o tém dobrze, mój poczciwy Marcinie, jaki z ciebie sługa. — Dlatego też chciałam z tobą pomówić. — Ale tu nas nikt nieusłyszy?

MARCIN.

Dziś święta niedziela, proszę W^éj^ pani, w ogrodzie niéma nikogo.— Wszyscy wybierają się do kościoła.

PODSĘDKOWA (konfidencyonalnie.)

Mój brat, choć czasem przykry, także ciebie kocha.

Wiem nawet z pewnością, że w rozporządzeniu swém, o tobie niezapomni. Ja mu to pochwaliłam, bo i ja szanuje stare sługi.—To też nikt odemnie odprawiać się niechce, chyba że ja sama odprawię, jak niezdatny i próżniak.— Ot zapytaj się furmana mego, jaka ja jestem względem sług.— On już u mnie półtrzecia miesiąca, to wié. — A także ze służącą, co ze mną przyjechała, pogadaj, ona ci także powie.— Miała czas przypatrzyć się, jest już u mnie piąty tydzień.

MARCIN (n. s.)

To długo, niéma co mówić. — Ale do czego to ona tak z ogródka zachodzi?

PODSĘDKOWA.

Otóż słuchaj mnie, poczciwy Marcinie! (z westchnieniem.) Jeżeli nieszczęściem przyjdzie do tego, do czego przyjść musi, to możesz być o swoją starość spokojnym.

MARCIN (n. s.)

Czego się ona tak do mnie umizga? — Muszę jéj jakiego bąka puścić.

PODSĘDKOWA.

Zapewne i ty Marcinie, choć kochasz swojego pana, i nieradbyś równie jak i ja, żeby wyroki Boże

prędko się spełniły, ale widzisz to, że mój brat nie ma się dobrze, i że niepowinienby myśleć o tém, co jak słyszę zajechało mu w głowę.

MARCIN (n. s.)

Aha! to tam raki zimują.— (głośno.) Eh! proszę Wéj pani, widzę ja to, że pan dziś niezdrów.— Ale to skrzypiące koło.— Zdaje się, że ot, ot, rozleci się, a ono tymczasem wiezie i wiezie.

PODSĘDKOWA.

Doprawdy? — tak myślisz?

MARCIN (n. s.)

Niebardzo jéj to do smaku.— (głośno.) Czy to już raz tak było, proszę Wéj pani, że pan sam o sobie zdesperował i przestraszył się, tak, że po doktora, ba i po księdza posyłał.— Jak go co zawieje, albo go jaki swąd skąd zajdzie, to już myśli, że po nim. A jak mu szpary odejdą, to znowu insze myśli przychodzą mu do głowy. Zwyczajnie, proszę Wéj pani, jak stary kawaler: dziś myśli o trumnie, a jutro o żonie.

PODSĘDKOWA.

Czy to być może? — więc to musi być prawda com słyszała? — Bo staremu kawalerowi do głupstwa

niedaleko. Lada kto może go podejść i zbałamucić. Tak jak stara panna czepia się pierwszego, co się do niéj umizgnie, i niepatrzy, czy on równy jéj wiekiem i stanem, tak i stary kawaler daje się łatwo opętać, jak mu bzik wlezie w głowę, że zapomina o tém, co winien sobie, swemu urodzeniu, i krewnym, które go kochają.— Nieprawdaż Marcinie?

MARCIN.

A bywa to, bywa, proszę W^{éj} pani.

PODSĘDKOWA.

Jeżeli tedy kochasz swojego pana, to wiedząc, jakie zmartwienia go czekają, jeśliby takie nic do rzeczy miał w myśli, powinienbyś tego niedopuścić.

MARCIN.

A jakże ja to, proszę W^{éj} pani, mogę zrobić? Albo to pan mnie usłucha?

PODSĘDKOWA.

Możesz to zrobić, jeżeli mnie wszystko powiész otwarcie, jak jest, jak daleko rzeczy już zaszły.— A niebój się, ja ciebie niezdradzę i będę pamiętać o tobie. — Już ja sama biorę wszystko na siebie i murem stanę między tym starym filutem, a tą

kokietką, co się tu, jak słyszę, memu bratu nadstawia. Chyba bym niebyła podsędkowa Gryzmolska, z domu Kątowiczówną, żebym dopuściła, aby nas tak skrzywdzili i aby mój brat lazł ślepo w takie błoto.

MARCIN (filuternie.)

A o kim to Wna pani mówi?

PODSĘDKOWA.

A jużciż o starym Jagnickim, i jego siostrzenicy, czy synowicy, Bóg ją tam wié, co ona za jedna i skąd się tu wzięła.— Słyszałam za rzecz pewną, że się memu bratu głowa do niéj zawróciła, bo ma być nieszpetna, i że stary Jagnicki patrząc na to przez palce, i owszem ułożył sobie, że pana, który mu zaufał, wpłącze w takie nieszczęście.

MARCIN.

To wszystko nieprawda, proszę Wéj pani.

PODSĘDKOWA.

Przecież ta imościanka tu jest?

MARCIN.

A jest, ale to kobiecina, choć młodziutka i bardzo ładna, ale skromna i uczciwa.— Jéj takie myśli nie

przychodzą.— Prawda, pan lubi z nią rozmawiać, lubi słuchać jak mu czyta; — i ona pana kocha i szanuje, ale to tylko przez wdzięczność pocałuje czasem pana w rękę, za to, że pan taki dobry dla jéj wujaszka.

PODSĘDKOWA.

Jak to? więc to bajka, co mi mówili?

MARCIN (z oburzeniem.)

Wielka bajka i kłamstwo paskudne, fe!

PODSĘDKOWA.

I memu bratu nie przychodzi myśl żenienia się?

MARCIN (z uśmiechem)

Eh! to znowu co innego.— Tego nie powiém.

PODSĘDKOWA (przestraszona)

Bój się Boga, człowieku! powiedz że, kto mu zajechał w głowę?

MARCIN.

Ale W^na^ pani mnie nie wyda?

PODSĘDKOWA.

Możesz być pewnym, Marcinie, stary i zacny sługo!

MARCIN (konfidencyonalnie)

To ja W^{ej} pani powiém, ale pod wielkim sekretem (ogląda się) To pani Józefowa.

PODSĘDKOWA.

Jezus Marya! — ta stara bezecna klucznica?

MARCIN.

Ehe! nie tak to ona bardzo stara, jak się wydaje, i nie tak bardzo brzydka, jak się wystroi. Przy gospodarstwie, to bywa i tak i owak.— Czasem czepek włoży na bakier, czasem brudny i dziurawy kaftanik naciągnie, byle prędzéj.— Ale niech no ją W^{na} pani obaczy przy święcie, lub jak dziś, przy niedzieli, kiedy się wyczubi i idzie do pana po dyspozycye, to jest na co spojrzeć.

PODSĘDKOWA (n. s.)

A mój Boże! co ja słyszę?

MARCIN.

I pan wtedy z niéj oka niespuszcza i jest w najlepszym humorze. Można i drzwi i okna poroztwierać, a cugów nieczuje, można mu pod nosem przenieść samowar dymiący, a swędu niesłyszy, tylko sobie z nią żartuje, i niby się droczy i drażni ją.— Ale ja widzę dobrze, na co się to zanosi, i p. Jó-

zęfowa od niejakiego czasu bardzo zhardziała. Bo to W^na^ pani wié, że jak sowa zakogucicje, to wyżéj sokoła lata.

PODSĘDKOWA. (n. s)

Dobrze żem przyjechała jeszcze w porę.—Takiemu staremu głupcowi niewiele potrzeba,

MARCIN.

Tylko niech W^na^ pani, na miły Bóg, mnie nie zdradzi. Bo jakby się przyszła pani nasza dowiedziała, że to odemnie wyszło, byłożby mi było.

PODSĘDKOWA (w złości.)

Przyszła pani! Oho nic z tego.— Ale niebój się. Czy to ja niewiem co może zła kobiéta.

MARCIN (n. s.)

Oj musisz ty to doskonale wiedzieć. (głośno.) Już W^na^ pani niéma do mnie nic? To ja pójdę także ogarnę się trocha. Może się uda z kim zabrać do kościoła.

PODSĘDKOWA (z pychą.)

Idź, idź mój kochany! jużeś mi niepotrzebny.

MARCIN (odchodząc i śmiejąc się — n. s.)

Żuj babo teraz plotkę. To dla was najmilsza strawa. (wychodzi na prawo.)

PODSĘDKOWA (sama.)

Proszę, proszę, proszę! jakie zamiary i plany ze szkodą naszą, z krzywdą Arturka.—Biedny chłopiec! wolałby był skończyć Marymont jako tako, niż takiego doznać zawodu.— Nieposiadam się ze złości.— Ale nic z tego. Chyba bym niebyła...... A to co? w Imie Ojca i Syna! A doprawdy ten koczkodan wystrojony idzie tu z bukietem w ręku. I ciekawa jestem dokąd? Chodź, chodź! rozmówię ja się z tobą. Nauczę ja cię klucznico! co to jest kłaść palce między drzwi.

(Wchodzi Józefowa, w niedzielnym stroju i ma kilka róż w ręku.)

Scena II.

PODSĘDKOWA, JÓZEFOWA.

JÓZEFOWA (wesoło.)

Dobrydzień W^{ej} pani.— Spodziewam się żeście panie dobrze spały, i że kawa była smaczna, bom sama zbierała śmietankę i masło wczorajsze posłałam do bułeczki.

PODSĘDKOWA (mierzy ją wzrokiem.)

Spałyśmy dość dobrze, i kawa była niezła. Tak sobie jak zwyczajnie u kawalera, gdzie słudzy tylko gospodarują.

Józefowa (n. s.)

Proszę? kawa niezła tylko. Nibyż to ma lepszą w domu?

Podsędkowa.

Ale tu nie o to idzie, czy kawa była dobra, czy zła.

Józefowa.

A o cóż, proszę pani?

Podsędkowa (seryo)

Słuchajno kochanko!

Józefowa (obrażona — n. s.)

Kochanko! patrzaj jaka mi. (głośno.) Nazywam się Józefowa Ładowska, taka dobra szlachcianka, jak i każda inna, co się inaczéj nazywa.

Podsędkowa.

Nieobrażaj no się tak bardzo, bo ją do wszystkich sług tak mówię: i do téj, co u mnie jest do kluczów, i do téj, co krowy doi.— To różnica niewielka.

Józefowa.

E! jak gdzie, proszę pani.— To zależy od gospodarstwa i majątku państwa. Gdzie niema bardzo

co zamykać, to tam nietrzeba szlachcianki do kluczow.— Może być ta sama, co krowy doi.

PODSĘDKOWA.

Jesteś zuchwała, moja kochana! powiem panu!

JÓZEFOWA.

A cóż mu pani powie? że ja mówiłam, że się nazywam Józefowa Ładowska? To pan już wie od lat dwunastu, jak jestem u niego klucznicą i gospodaruję mu wiernie i uczciwie. Nie bardzo ja się tego boję. I ja idę do pana po dyspozycyę i niosę mu te róże, które on lubi.

PODSĘDKOWA (n. s.)

Oczywiście to prawda, co Marcin mówił. (głośno.) Czy dlatego nieboisz się, żeś się tak wystroiła i z kwiatkami idziesz do pana?

JÓZEFOWA (n. s.)

Czego ta baba odemnie chce? (głośno.) Ciekawa jéstem, co to pani może szkodzić, że ja mam czepiec taki, albo inszy.— Wystroiłam się dla tego, że to dziś niedziela i pojadę do kościoła.— A jakbym chciała i miała czas, tobym się i codzień tak stroiła, bo mam, dzięki Bogu, w co się ubrać. Służę panu wiernie, i pan to widzi, płaci mi akuratnie, a jeszcze

obdarza.— Ot i ten czepek mam od niego, i tę chustkę mam od niego, i niejedną taką, jeśli pani chcesz wiedzieć.

PODSĘDKOWA (z ironią.)

Doprawdy? (n. s.) Niema wątpliwości. tu jest cóś złego. Gdzie ci mężczyzni mają oczy, a zwłaszcza starzy kawalerowie!

JÓZEFOWA.

Dlaczego to pani z takiém urągowiskiem na mnie patrzysz i cóś tam sobie szepczesz? Jeżeli pani masz co powiedzieć, to proszę powiedziéć głośno, a ja odpowiem. Ja nie taka, niebój się pani, abym przed kim bądź zapomniała języka w gębie.

PODSĘDKOWA.

Widzę ja to, i radzę ci, abyś ten język trzymała za zębami.

JÓZEFOWA.

Otóż niebędę trzymała, bo mam sumienie spokojne, i nikt tu nieznajdzie na włos, coby mi mógł w gospodarstwie zarzucić.

PODSĘDKOWA.

Nie o gospodarstwo tu idzie, ale o coś gorszego.

JÓZEFOWA.

O cóś gorszego? A o cóż, ciekawam?

PODSĘDKOWA.

Oto o to, że ja wiem wszystko, i zapowiadam ci, że z tego, co ci chodzi po głowie, niebędzie nic. — Tak, tak, nic a nic.

JÓZEFOWA

Co mnie chodzi po głowie? przeżegnaj się imość.

PODSĘDKOWA.

Będziesz mnie nazywać imością? mnie, podsędkowę Gryzmolską z domu Kątowiczównę, siostrę twego pana, i da Bóg przyszłą dziedziczkę Kątów wielkich i małych? Nauczę ja ciebie!

JÓZEFOWA.

Eh! już mnie uczyli wtedy, jakiem była mała.— a teraz ja niczyjéj nauki niepotrzebuję.—Bądź sobie pani podsędkową Gryzmolską, z domu Kątowiczówną i jakąś tam siostrą naszego pana; ale czy pan Bóg da, że będziesz dziedziczką Kątów wielkich i małych, to jeszcze do tego daleko.— Nie zawsze pan Bóg daje to, co komuś tam chodzi po głowie.—Upadam do nóg pani. (wychodzi.)

PODSĘDKOWA. (sama.)

Co za zuchwalstwo! Trzęsę się ze złości.— Ale muszę to zaraz wywrócić do góry nogami.— A! pan brat! fe! wstyd! stary człowiek, schorowany, takie życie prowadzić? — dać się opętać takiemu koczkodanowi?— fe! fe! (wychodzi na prawo.)

(Z lewéj strony wchodzi panna Jagniszka i Marcin)

Scena III.

Pna JAGNISZKA, MARCIN.

Pna JAGNISZKA (patrząc za podsędkową—d. s.)

Dokąd to pani siostra tak spiesznie?—Ale niech sobie idzie. Wybadam trochę tego starego, jak daleko tu rzeczy zaszły, a zręcznie, a ostróżnie; bo oni tu wszyscy mają w tém interes, żeby przed nami ukrywać prawdę. (obraca się do Marcina.) Chodź no tu, mój Marcinie.—Chciałam ci parę słów powiedzieć.

MARCIN.

Słucham Wéj panny. (n. s.) Czy niebędzie mnie i ta ciągnąć za język?

Pna JAGNISZKA.

Ty jesteś poczciwy człowiek, Marcinie, — wszak prawda?

MARCIN.

A któż, proszę W^{ej} panny, powie sam na siebie, że łajdak, albo oszust, albo złodziéj? — Przed ludźmi każdy mówi, że poczciwy i dobry, póki go niezłapią na gorącym uczynku. — To tylko przed P. Bogiem niemożna zełgać, bo widzi dobrze, co człowiek ma w myśli.

P^{na} JAGNISZKA.

Przepraszam cię, mój Marcinie, żem się źle zapytała. — Ale ja nie to chciałam powiedzieć.

MARCIN.

A cóż W^{na} panna chciała powiedzieć?

P^{na} JAGNISZKA.

Oto chciałam powiedzieć, że poczciwy człowiek jest razem poczciwym sługą. — A poczciwy sługa kocha swojego pana, przy którym jest najbliżéj, zwłaszcza, gdy ten pan niema przy sobie takich, co go z obowiązku pokrewieństwa kochają i pilnować niemogą, żeby mu się cóś złego niezdarzyło.

MARCIN (n. s.)

Coś i ta zaczyna z ogródka. — Poczekaj, napędzę ja ci dobrego Piotra.

P[na] JAGNISZKA

Otóż w takim razie, mój kochany Marcinie, ten sługa powinien ich miejsce zastąpić, i widzieć wszystko, i ostrzedz tych, których to najwięcéj interesuje, jeżeli mu co zagraża.— Rozumiesz mię?

MARCIN (z głupowatym uśmiechem.)

Tak, proszę W[éj] panny, niby rozumiem, i niby nierozumiem.

P[na] JAGNISZKA.

Jużci, mówiąc po prostu, dbasz o jego dobro?

MARCIN.

A! co się tyczy dobra pańskiego, jego kredensu, jego garderoby, jego butów, to tego pilnuję, jak oka w głowie, i niepozwolę, żeby się, broń Boże, co złego przytrafiło.— Ale, dzięki Bogu, z téj strony nic panu niezagraża.

P[na] JAGNISZKA. (n. s.)

Głupi, niedomyśli się.— (głośno) Ale tu nie o buty idzie.— Ważniejsze jego zdrowie i spokojność.

MARCIN.

Co się znowu tycze pańskiego zdrowia, to także, proszę W[éj] panny, nikt o to więcéj niedba, jak ja.—

Drzwi i okna zawsze zamykam, żeby niebyło przeciągów, które mu szkodzą; do samowara zawsze mam węgle doskonałe, że nigdy swędu niéma, którego nielubi i gniewa się za to; a jak przychodzi zima, to sam pilnuję pieców, i niedam zamykać, póki ogień całkiem nie spopieleje.

P^na^ JAGNISZKA.

Wszystko to bardzo dobre, i my, których zdrowie jego, tak mocno interesuje, wdzięczne ci będziemy, a szczególniéj ja, która wiém ile wart dobry sługa. Ale widzisz, mój Marcinie, są tu okoliczności takie, które mu więcéj mogą zaszkodzić, jak przeciągi i swąd od samowara.

MARCIN

To już tam resztę wié lepiéj p. doktór Bańkowski, po którego zaraz posyłamy, jak tylko panu się zdaje, że niby bardzo chory.

P^na^ JAGNISZKA.

Mówisz, że tylko mu się zdaje? (n. s.) To dziwne!

MARCIN

A jużci mówię, co prawda, żeby W^na^ pannę ucieszyć; bo ja wiem, jak W^na^ panna będziesz kontenta, kiedy jéj powiem pod sekretem, że w tych wszystkich

chorobach pańskich, to więcéj jest udawania, jak prawdy, i że to strachy na Lachy, a nic tego niéma. P. Bańkowski z tego się śmieje, a ja widząc, jak pan czasem zajada przy stole pieczeń z kapustą, widzę to dobrze, że żyć jeszcze będzie ze trzydzieście lat, i dziękuję za to P. Bogu.

Pna JAGNISZKA.

Trzydzieście lat! (n. s.) A cóż będzie z moim zamążpójściem?

MARCIN. (n. s.)

I téj niebardzo to do smaku.

Pna JAGNISZKA.

Daj Boże żeby tak było, jak mówisz.—Ale widzisz, mój kochany, często człowiek sam sobie daje gorsze złe, niż łamanie kości i gorączka. Zwłaszcza stary kawaler, gdy jakie głupstwo zrobi, to tak sobie zaszkodzi, że mu żaden doktór niepomoże. Domyślasz się o czém mówię?

MARCIN.

Nic a nic niedomyślam się.

Pna JAGNISZKA. (n. s.)

Głupiusieńki! Trzeba mu jak łopatą w głowę.— (głośno) Przecież, jeśli masz dobre oczy, to musisz

widzieć, na co się tu zanosi, a co do nas doszło z pewnych ust.

Marcin

Zapewne, że widzę doskonale, na co się tu u nas zanosi; ale niepowiem, żeby to było głupstwo.— I jeżeli pan to zrobi, jak podobno ma chęć wielką, to zrobi bardzo rozumnie.

Pna Jagniszka.

Co? co? człowieku! co ty mówisz? więc to prawda, że ma chęć żenienia się?

Marcin.

O! co ma, to ma.

Pna Jagniszka (n. s.)

Jezus Marya! a toż w porę przyjechałyśmy. (głoś.) I z tą niby siostrzenicą, czy synowicą tego starego filuta Jagnickiego, co się tu przybłąkała niewiedzieć zkąd?

Marcin.

Albož to nie śliczna kobiétka? jak złoto. A jaka uczciwa, jaka dobra, jaka miła! jaka z niéj będzie pani.— Niech-no ją Wna panna obaczy, to sama powie to samo. — A co się tycze p. Jagnickiego, to

proszę W^éj^ panny, niejest to żaden filut. To człek uczciwy, pilnuje dobra pańskiego, jak swego, i my tu w całym dworze cieszymy się, że jego krewna wpadła w oko naszemu panu, i że pana tak pokochała.

P^na^ JAGNISZKA.

Pokochała? Ona go pokochała? — takiego starego jak pan brat? (n. s.) O mój Boże! to rzeczy bardzo źle stoją.

MARCIN

Et, proszę W^éj^ panny, albo to nasz pan taki stary? — To się tylko tak wydaje. — Da P. Bóg, będzie miał jeszcze ze sześcioro dzieci.

P^na^ JAGNISZKA.

Sześcioro.... sześcioro dzieci, mówisz?—jak? co?

MARCIN (z uśmiechem.)

Jak to jak?....

P^na^ JAGNISZKA.

Ale niemów, niemów.—Niezapominaj, że ja jestem panna, i wstydzę się nawet pomyśleć o tém, żeby p. brat wdał się z taką kokietką.

MARCIN.

A co to się nazywa kokietka, proszę W^{ej} panny? czy to tak, jak pani podsędkowa Gryzmolska? czy tak jak W^{na} panna?

P^{na} JAGNISZKA (rozgniewana.)

Nie tak, głupcze, nie tak.— To się nazywa umizgalska, która się nadstawia; kobieta bez czoła i wstydu, która lezie w oczy staremu mężczyznie, którego krewni pilnować niemogą, aby go skusić, aby głupstwo zrobił, aby go potém opętać i rogi mu przyprawić. Rozumiesz?

MARCIN.

Aha! teraz rozumiem. — Ale jak to W^{na} panna dobrze wie?....

P^{na} JAGNISZKA.

Idź sobie precz—jużeś mi niepotrzebny.

MARCIN.

Idę; proszę W^{ej} panny. (odchodząc — n. s.) Masz dobry kąsek, gryź że go teraz. (wychodzi.)

P^{na} JAGNISZKA (sama.)

Otóż to tak! — wyszło na moje.— Mówiłam pani siostrze jeszcze przed dwoma miesiącami: jedźmy,

mam złe przeczucia. Uparła się, żeby swatać swego synka, który szkół nieskończył, i niepojechałyśmy. A teraz ma. Ale dzięki Bogu, jeszcze klamka nie zapadła.—Albo ja Jagniszka Kątowiczówna, albo ta imościanka wraz ze swym wujaszkiem pójdą fora ze dwora.—Ale co widzę? to musi być ona.—A jak gustownie ubrana? jaka ładna! jakby na złość.— I gdzie się to tak nauczyło? Pewniusieńko gdzie w Warszawie u jakiego bogatego rozpustnika, który na nią łożył; bo to jéj na czole napisano, choć teraz z taką skromną minką i niby zamyślona idzie. Czy nie jemu to niesie ten śliczny bukiet róż? Głupi ten p. brat! zamiast myśleć o trumnie, jemu kochać się w różach i w takich...... Panie zmiłuj się!

(Wchodzi Julija zamyślona, niewidząc p-ny Jagniszki.)

Scena IV.

Pna Jagniszka, Julija.

Pna Jagniszka.

Dokąd że to acani w takim stroju i w takim zamyśleniu?

Julija (podnosi głowę i kłania się.)

Czy mam honor mówić z panią podsędkową Gryzmolską?

P^na^ JAGNISZKA.

Cóż to? Acani tego niewidzisz,—że mówisz z panną. Zdaje mi się, że czépka niéma na mojéj głowie?

JULIJA

A! więc to zapewne panna Jagniszka Kątowiczówna? — Przepraszam panią, żem się pomyliła. (z uśmiechem.) Ale sądzę, że to żadną pannę niepowinno obrażać, kiedy ją kto przez niewiadomość bierze za mężatkę.— Wszak to jest cel i przeznaczenie panien, aby były mężatkami.

P^na^ JAGNISZKA (z ironią.)

Ten sam cel mają i rozwódki, czy wdówki, które błąkają się po świecie, i szukają także takiego, co by je na nowo zrobił mężatkami.—Nieprawdaż?

JULIJA (z uśmiechem i bawiąc się bukietem.)

Być może, jeżeli młode, jeżeli mają czém ująć, jeżeli Bóg który je zasmucił odbierająo im pierwszego męża, lub dając takiego, który niewart był ich miłości, dał im serce i pozwolił znaleść takiego, którego by na nowo pokochać mogły.

P^na^ JAGNISZKA (złośliwie.)

Niebardzo one są jak słyszę, wybredne, — łapią pierwszego lepszego, który się zdarzy, a zwłaszcza

kiedy stary i głupi, że się da zdurzyć, a przytém bogaty, że można się stroić, kokietować młodszych, i nareszcie wydrwić u starego niedołęgi zapis, z krzywdą krewnych, do których jego majątek należy.

JULIJA.

Wiem, że są i takie, co wdzięków swych i zręczności tak źle używają, że są starzy dość nieostróżni i tyle słabi, że im nietrudno głowę zawrócić; że są i krewni, którym to niemiło, kiedy ten, na czyją fortunę czekają, myśli także i o sobie, a nietylko o nich. Ale niewidzę, dlaczego pani występujesz z tém wszystkiém do mnie, i to takim tonem, za który bym się powinna obrazić, kiedy mnie nieznasz i niewiesz zupełnie, jakie moje położenie, jakie zamiary i chęci.

Pna JAGNISZKA.

Znam ja acanią dostatecznie, choć cię pierwszy raz widzę. Bo też to i nietrudno. Czem jesteś, to ci na czole napisano. A co się tycze zamiarów acani i chęci, o tych dowiedziałam się z ust pewnych, i zresztą łatwo je zmiarkować widząc jéj manewra.

JULIJA (spokojnie.)

Wątpię, aby na czole mojém było napisano cóś takiego, coby mi krzywdę przynosiło. Zamiarów moich i chęci, pani znać niemożesz, choć jak na

pannę, zdajesz mi się nadto przenikliwą; a manewrów w postępowaniu mojém, żadnych niéma. — Jest ono proste i jawne.

P^na^ JAGNISZKA.

Tém gorzéj, tém większy wstyd dla młodéj kobiéty, że jawnie nadstawia się staremu człowiekowi, który ze względu na swój wiek i swoje zdrowie, powinienby już myśleć o czém inném.

JULIJA (z zadziwieniem.)

Nadstawia się?!

P^na^ JAGNISZKA (prędko.)

Jużci niezaprzesz się acani tego, że i teraz idziesz do mego brata, i niesiesz mu ten bukiet, który dość jawnie chęci i projekcik acani tłumaczy.

JULIJA.

Ani myślę się zapierać, że idę do p. majora, żeby mu oddać dobrydzień, bo go szanuję i kocham, bom mu wdzięczna, bo mam dla niego więcéj obowiązków, niż pani nawet przez głowę przechodzi; że mu niosę te róże, które on nad wszystkie kwiaty przekłada, których ma znakomity zbiór w swoim ogrodzie, i o których mieć staranie wyłączne wyprosiłam sobie, żeby mu się więcéj przypodobać.

Pna Jagniszka (n. s.)

A to jawna bezwstydnica! (głośno.) Ładnie, bardzo ładnie! wystroić się, wyróżować, i iść z bukietem w ręku do starego kawalera, wtedy, kiedy on może jeszcze w szlafroku, kiedy..... wstydzę się wymówić, i rumieniec zalewa twarz moją, na samą myśl takiego spotkania.— Jeżeli to niejest nadstawianie się, to już niewiem jak nazwać.— Jeżeli to niepokazuje oczywiście, co acani sobie ułożyłaś, to chyba ja jestem dziesięcioletnia dziewczynka, któréj można lada czém oczy zamydlić.—Ale niejestem dziesięcioletnia, nie.....

Julija (z uśmiechem)

O co to, to widzę bardzo dobrze.

Pna Jagniszka (z gniewem.)

Już co acani widzisz, to schowaj dla siebie; a co ja widzę i wiém, to ci powiem, że jest haniebne, brzydkie, nieuczciwe. Ale, dzięki Bogu, jeszcze czas. Cóś sobie ułożyła, z tego nic niebędzie. Panią majorową niezostaniesz, panią Kątów wielkich i małych niebędziesz, nie, chyba ja przestanę być Jagniszką Kątowiczówną, stryjeczną siostrą majora, i mającą najbliższe prawo do jego spadku. Acani się śmiejesz?

Julija.

Alboż to niewarte śmiechu, żeś pani uroiła sobie

do mnie Bóg wie jaką pretensyą, i przypisujesz mnie to, czego sama najmocniéj pragniesz.—A tymczasem wielka w życzeniach i uczuciach naszych różnica.— Ja p. majora szanuję i kocham dla niego samego; ja go mam za człowieka pełnego zacności i rozumu; ja pragnę jedynie jego pokoju, i pragnę, aby pod koniec życia doznał téj serdecznéj radości, jakiéj dotąd niemiał. A pani masz go za głupca, którego lada kokietka może zdurzyć; nazwałaś go starym niedołęgą, któremu można wydrwić zapis z krzywdą krewnych, gdyż przedewszystkiem pani idzie o ten zapis, i chciałabyś być panią Kątów, jeżeli nie wielkich, to przynajmniéj małych. Widzi pani, że ja panią znam lepiéj niż pani mnie.— Ale bądź pani spokojną. — Choć p. major na mnie łaskaw i rad mnie słucha, nie powiem mu tego wszystkiego oddając mu dobrydzień, i chwaląc się przed nim témi różami, którémi wiem jak się ucieszy. Sługa uniżona. (kłania się i wychodzi.)

P^na^ JAGNISZKA (sama, przychodząc do siebie z zawstydzenia i klasnąwszy w ręce)

Jezus Marya! co się tu dzieje! — A to efrontka, jakiéj jeszcze niewidziałem. — Na nieszczęście młoda i ładna, a mężczyzni zwykle głupi są i ślepi na wyższą dojrzałość..... wdzięków i rozumu. A im który starszy, tym głupszy pod tym względem. Ba-

łyśmy się zawsze Walerka, ale tu niebezpieczeństwo sto razy gorsze.

(Wchodzi PODSĘDKOWA z przeciwnéj strony, którą wyszła JULIJA.)

Scena V.

Pna JAGNISZKA, PODSĘDKOWA, pod koniec sceny MARCIN.

PODSĘDKOWA.

W co się ten dom zamienił! A to Sodoma i Gomora. Téj babie pozwolił wejść, a mnie kazał powiedzieć, że nieubrany i chory. Zgroza!

Pna JAGNISZKA.

Co to, to już czyste przewidzenie p. siostro! Jak ona mogła już wejść, kiedy tylko co ztąd wyszła, gdziem z tą kokietką rozmówiła się, jak należało?

PODSĘDKOWA.

Z kokietką? Upamiętaj się p. Jagniszko.—Ta stara baba niejest wcale kokietką. To istny koczkodan z różami w ręku.

Pna JAGNISZKA.

Już jaka ona jest, to jest, ale ani koczkodan, ani stara.

PODSĘDKOWA.

Przeżegnaj się—ona od ciebie starsza.

Pna JAGNISZKA.

Czy starsza odemnie, czy nie starsza, tego niewiem; dość że młoda i ładna, co tém gorzéj i większa wina pani siostry.

PODSĘDKOWA.

Moja wina?

Pna JAGNISZKA.

A tak, twoja, żeś mnie niesłuchała przed dwóma miesiącami i niechciała wybrać się wtedy, kiedy była pora. Teraz już może nieczas.

PODSĘDKOWA

Zawsze chcesz mieć więcéj rozumu ode mnie.

Pna JAGNISZKA.

Czy go mam więcéj, czy mniéj, to moja rzecz. Ale mam przeczucia. Mówiłam, że będzie źle, jedźmy —i jest źle. A pani siostrze nie interes całéj rodziny w głowie, tylko jéj synek, z którego niebędzie nic dobrego.

PODSĘDKOWA.

A tobie twój romans, z którego także będzie tyle, co i z innych, jakie sobie roisz co kwartał.

Pna Jagniszka.

Czy będzie tyle, czy więcéj, to nie twój kłopot. Jak będę panią Kątów małych, to z moich romansów wcale nieurojonych, będzie pewnie więcéj, niż z twoich projektów ożenienia bogato smarkacza, który nieskończył Marymontu.

(Marcin wchodzi i staje zdaleka.)

Podsędkowa (w gniewie.)

Nic niemoże być nieznośniejszego, jak stara panna.

Pna Jagniszka.

Nic zgubniejszego dla rodziny, jak zaślepiona i niedorzeczna matka.

Podsędkowa.

Wiedział P. Bóg, co robił, że ci niedał być matką, którą zapewne niebędziesz.

Pna Jagniszka (w uniesieniu.)

Już czy będę czy niebędę, to moja rzecz; a twój synek z Kątów małych nic niedostanie.

Podsędkowa.

Miéj sobie Kąty małe i daj mi święty pokój.

Pna Jagniszka.

A ty trzymaj sobie Kąty wielkie i nieprzeszkadzaj mi działać.

Marcin (który słuchał, śmiejąc się w duchu, mocno chrząka.— Obie przestraszają się — on się zbliża.)

Powóz zaszedł. P. major prosi, żeby Wne panie jechały do kościoła, bo będzie czekał z obiadem.

Podsędkowa.

Chodźmy.—Wiém o co prosić P. Boga.

Pna Jagniszka.

Wiém i ja, niebój się. (Wychodzą obie.)

Marcin.

Jeszcze skóra na baranie, a już szewc pije na nie! O to baby! Ależ dałem im robotę—ażem kontent. (Smieje się i wychodzi — zasłona spada.)

AKT 3-ci

(Pokój majora, ten sam co w akcie 1-m.)

Scena I.

MAJOR, BAŃKOWSKI, JÓZEFOWA.

(MAJOR w szlafroku siedzi w krześle skrzywiony i stękający, przy nim BAŃKOWSKI z miną zamyśloną trzyma go za puls patrząc na zegarek; z boku stoi JÓZEFOWA i kiwa głową patrząc na Majora.)

JÓZEFOWA (d. s.)

Odkiedy te baby przyjechały, ma się coraz gorzéj. Tak niby czasem się ożywi, to znowu go siły opadają. Chryste Jezu! najzdrowszego takie złośnice mogą przyprowadzić do choroby. Mnie wczoraj cały dzień głowa mało niepękła z bolu, po téj rozmowie w ogrodzie, gdzie mnie napadła niewiedzieć za co. Ależ odcięłam się dobrze. Popamięta i ona!

MAJOR.

Która godzina, Bańkosiu?

Bańkowski (puszcza jego puls i chowa zegarek.)

Już po dziewiątéj.

Major (słabym głosem.)

Józefowa!

Józefowa (przystępuje.)

Jestem i słucham W^go^ pana.

Major.

A co tam nasi goście robią? moja Ładosiu!

Józefowa.

At! daj mi tam W^ny^ pan pokój z témi gośćmi. Niby to ja niemam inszéj roboty, tylko patrzeć, co one robią.— Wiem, że powstawały i kawę wypiły, bo przysyłały jeszcze po sucharki, choć im ot taką furę posłałam.

Major (z uśmiechem.)

Apetyt mają dobry moje panie siostry.

Józefowa.

Spodziewam się, że im tu smakuje, bo w domu pewnie tego niewidzą.

Bańkowski.

Ja myślę, że tym paniom niejedna tu rzecz smakuje. Nieprawdaż Józefowa?

Józefowa.

O! co to, to pan doktór rozumnie powiedział.— Ostrzą one sobie zęby na wszystko, co tu widzą, od tego czasu zwłaszcza, jak W^{ny} pan, usłuchawszy ich plotek, rozgniewał się niewiedzieć za co na p. Walerego.

Major (mocniéj.)

Cicho bądź! — Tobie nic do tego. (poprawia się w krześle i chwyta się za kolano). A! tu jakiś przeciąg. Muszą bydź gdzie drzwi niezamknięte, albo okno. Obacz.

Józefowa (rusza ramionami.)

Wszystko pozamykane.—Niewymyślałbyś W^{ny} pan i nieirytował się daremnie, kiedy to może zaszkodzić.

Bańkowski.

Otóż to, toś znowu ty, moja Józefowa, rozumniéj powiedziała, niż jaki doktór.

Józefowa.

Eh! proszę pana, czy to ja jedną rzecz rozumnie powiem, ale na co się to zda?

Bańkowski.

Niesłucha?

Józefowa.

Groch na ścianę i basta. Wiele to ja razy mówiłam, po co W^ny^ pan taki dobry dla tych krewnych swoich, kiedy one nieszczere, a chciałyby, żeby W^ny^ pan jeszcze słabszy był, niż jest.

Major

I żebym jak najprędzéj poszedł sobie...... co?

Józefowa.

Jabym za to i trzech groszy niedała, że im ta myśl plącze się po głowie, nawet przy pacierzu, jeśli go mówią.

Major (filuternie.)

Widzisz, jakaś ty zła. Niemożesz darować podsędkowéj, że cię wczoraj napadła, że domnie nie po dyspozycye szłaś z różami, ale w umizgi.

Józefowa.

Et! głupia ona! z przeproszeniem W^go^ pana, choć to niby pańska siostra. Kto jéj takie dureństwo w głowę włożył. Niby to ja do umizgów, a i W^ny^ pan także? Panie odpuść!

Major (n. s.)

Masz tobie!

Bańkowski (n. s.)

Usłyszy on tu cóś, co się przyda. Muszę ją trochę na tor wprowadzić. (głośno.) Otoż znowu Józefowa mądrze powiedziała.

Józefowa.

Nibyż to co dziwnego, jak nieuczona kobieta powié co do rzeczy.—Nas P. Bóg uczy, i wie co nam trzeba wiedzieć. A panowie uczycie się wiele rzeczy po szkołach, a często......

Bańkowski (przerywając.)

A często bywamy głupiuteńcy. Nieprawdaż?

Józefowa.

Et! tego ja niemówię.— Ale często widzicie, co jest za lasem, a niewidzicie tego, co jest pod nosem

Bańkowski.

Tak np. major tego niewidzi, że jemu już nie do umizgów. To samo i ja jemu mówię.—Ale co innego takie umizgi, jakie to się czasem zdarzają u starych kawalerów, a co innego małżeństwo. Do małżeństwa to i p. Józefowéj jeszcze czas, a i majorowi jeszcze także czas nieminął.—Tak mi się przynajmniéj zdaje.

Józefowa.

To się panu źle zdaje, bo co innego ja, a co innego W[ny] pan.

BAŃKOWSKI.

Dlaczegoż to, moja Józefowa? wszak w téj mierze obowiązki męższczyzny i kobiéty, są równe. A wiek wasz, także niebardzo różny.

JÓZEFOWA (ruszając ramionami.)

Eh! p. doktór wie swoje, a ja swoje.— Metryki ja p. doktorowi swojéj pokazywać niebędę; ale co się tycze małżeństwa, to panu powiem, że kobiécie zawsze czas, kiedy zdrowa, taka jak ja, a mężczyznie niezawsze, zwłaszcza, kiedy ot tak wygląda, jak W^ny^ pan, któremu więcéj potrzebna flanela, jak żona.— Ale co tam! Ot lepiéj niech p. doktór, zamiast gadać niewiedzieć co, weźmie za puls W^go^ pana, bo tak jakoś pobladł i nakrzywił się, że jakby to te panie siostry obaczyły, toby dopiéro pozadzierały nosy.

MAJOR (krzywiąc się.)

Rozterkałaś się bardzo, moja kochana!

JÓZEFOWA.

To nacóż mnie p. doktór ciągnie za język? W^ny^ pan wié, że mnie się wtedy zawsze jakieś głupstwo wyrwie.— Proszę darować i powiedzieć, co W^ny^ pan chce mieć na obiad, bo już późno. Naszemu Maciejowi trzeba czasu.— On dobry kucharz, ale jemu niepali się w rękach, tak jak mnie. To W^mu^ panu

wiadomo.— Co dla Wgo pana zrobić? Może klejek perłowy na wazę, potraweczkę z kurczęcia z jarzynkami, i naleśniczki z kaszką. To zrobię dla Wgo pana osobno i sama, żeby było dobre i delikatne.

MAJOR (słabym głosem.)

Nie, moja Ładosiu! nietrzeba.— I dla mnie jak dla wszystkich, niech będzie barszcz z wieprzowiną, tylko żebym miał kawałek tłusty i przerastały.— Jeżeli masz ładną krzyżówkę, to ją daj na sztukę mięsa z ogórkami; na potrawkę odegrzéj dobrze ten bigos, co go tam masz w spiżarni, tylko dodaj świeżéj słoninki; a na pieczyste, każ upiec dobre udko cielęciny i daj z sałatą.— Na leguminę, co już tam zechcesz, to będzie dla mnie dosyć.

JÓZEFOWA. (zadziwiona.)

Spodziewam się, że i dla kosarza byłoby dosyć! Chryste Jezu! żeby człowiek chory takie dawał dyspozycye! (do doktora) Cóż pan siedzisz, jak malowany, i nic niemówisz.— Toż jak on to wszystko zje, to żebyś pan potém całą swoją łacinską kuchnię w niego wpakował, to nic nieporadzisz.

BAŃKOWSKI.

Alboż on mnie posłucha?

JÓZEFOWA (rozgniewana.)

A cóż z pana za doktór, kiedy pana pacyenci niesłuchają? Niechnoby mnie kto nieposłuchał tam, gdzie mój urząd, gdzie ja ot témi kluczami zadzwonię, miałby się z pyszna! (do majora.) Czy W^{ny} pan żartuje sobie zemnie, czy doprawdy tak chce?

MAJOR (krzywiąc się i chwytając się za ramię.)

Doprawdy, moja kochana, tylko idź już, i zamykaj za sobą drzwi, żeby niebyło przeciągu.

JÓZEFOWA.

Drzwi ja zamknę, a W^{mu} panu powiém, że to nie przeciągi W^{mu} panu szkodzą, nie swąd od samowara, ale takie niepomiarkowanie w jedzeniu, a gorzéj jeszcze, niepotrzebne myśli, tam koło folwarku, co to W^{mu} panu przyszły do głowy nie w porę. Fe! wstydź się W^{ny} pan, to grzech tak o siebie niedbać, taką uciechę robić złym kobiétom, co na pańskie dobro czyhają, a niemyśleć o tém, co się potém stanie z poczciwemi sługami, co wiernie służą, co z tym kochanym chłopcem, któregoś W^{ny} pan skrzywdził za to, że.....

MAJOR (rozgniewany.)

Milcz!

JÓZEFOWA.

No, no, już o tém niebędę gadała, kiedy to W^{go}

pana irytuje. Ale z dyspozycyj pańskich niebędzie nic. Dla tych tam gości dam wszystko jak W[ny] pan kazał, ale co dla W[go] pana, to taki będzie, jakiem powiedziała: klejek, potraweczka i naleśniczki.

BAŃKOWSKI.

Choćbym ja pozwolił co innego?

JÓZEFOWA.

A! co tam pan wiész? Panom wszystko jedno, byle receptę zapisać, byle było dużo chorych.—Jak jeden umrze, to drugi znowu gdzie obje się, zawróci sobie głowę głupstwém, zechce mu się romansu, wtedy, kiedy mu potrzeba rumianku, i znowu po pana przyszle. Nam starym sługom co innego. Nam i kłopot i zmartwienie, jak chory, a jak umrze (z płaczem) to kij i torba. (wychodzi.)

Scena II.

MAJOR, BAŃKOWSKI.

BAŃKOWSKI (śmiejąc się.)

Czy wiesz, kochany kolego, że ona ma racyą.— To rozumna kobiéta i przywiązana bardzo sługa, Żebyś zrobił to, o co was posądza podsędkowa,

i czego się pewnie okropnie przestraszyła, tobym się niedziwił. Niejeden stary kawaler ożenił się z klucznicą.

MAJOR.

I dobrze wyszedł na takiém głupstwie?

BAŃKOWSKI.

Zapewnie, niejeden źle natém wyszedł i wlazł w wydreptany pantofel baby złéj i brzydkiéj, co go potém targała za wąsy, a czasem i tak poczęstowała. (pokazuje policzek.) Ale tybyś miał przywiązaną żonę, coby ci i doktora zastąpiła.

MAJOR (prostując się)

Dajno pokój i niepleć nic do rzeczy. Niejestem ja taki chory, jakbym się chciał pokazać moim siostrzyczkom, które radbym ztąd wykurzyć. Mnie co innego w głowie, i o czém innem chciałbym z tobą pogadać.

BAŃKOWSKI (przyrządzając sobie sygaro)

Wiem, wiem, że ci co innego w głowie,—Tam koło folwarku krążą twoje myśli, jak mówi Józefowa.—Ładna kobiétka ta pani Krzepicka, niéma co mówić; ależ mój kochany, i to pantofelek. Prawda zgrabny i świeży, ale właśnie dlatego niebezpieczniejszy, jak wydeptany pantofel staréj klucznicy.

On cię djable ściśnie i zrobi ci nagniotki, nie na nogach, kochanku, ale tu, skąd ci już lata siwe włosy wyskubały i tyle tylko zostawiły, że nagniotków tych niebędziesz miał czém zakryć i ludzie obaczą je i wyśmieją cię.

MAJOR

Lata, lata! nibyż to ja już jestem taki stary, żebym niemiał oczów na wdzięki i powab tak miłéj istoty?

BAŃKOWSKI.

Ja ci oczów niezaprzeczam do admiracyi; tylko że to, mój kochany majorze, w takiéj sprawie, na jaką się chcesz ryzykować, niekończy się na admiracyi.— A twój wiek....?

MAJOR.

Co ty u djabła wyjeżdżasz z tym moim wiekiem? Przed dwoma dniami obrachowałem się akuratnie, i pokazało się......

BAŃKOWSKI.

Że masz dopiéro pięćdziesiąty siódmy rok.

MAJOR.

Oho, ho! daleko od tego.

Bańkowski.

Zawsze byłeś o rok tylko młodszym ode mnie, a ja mam 58.

Major.

To musiała być pomyłka. — Byłem o dwa lata młodszym.

Bańkowski (ruszając ramionami.

Dajmy, że o dwa. — Czyż to jest wiek do żenienia się?

Major

A tyż nie ożeniłeś się trzy lata temu?

Bańkowski.

Ożeniłem się, to prawda, i nieżałuję tego.

Major.

A widzisz. I w rok po szlubie, na chrzcinach twojego syna, upiliśmy się należycie.

Bańkowski.

A upiliśmy się, i to prawda. Byłem szczęśliwszy w téj chwili, niż kiedykolwiek w życiu.

Major.

A widzisz! A i teraz twoja żona także jest, dzięki Bogu.......

Bańkowski.

A dzięki Bogu, jest.

Major.

A widzisz!

Bańkowski.

Widzę, ale czegoż to dowodzi?

Major.

To dowodzi, że i mój wiek jeszcze nietaki, abym niemógł doznać podobnego szczęścia; abym niechciał wyjść z roli starego kawalera, która jest i głupią i nieznośną; abym niepragnął dogodzić sercu, które po wielu latach, znalazło wreszcie przedmiot, co je zajął seryo, jakąś dziwną sympatyą, któréj pokonać niemogę.

Bańkowski (zapalając sygaro.)

Wszystko to dobre, jabym ci jednak nieradził, abyś mnie naśladował, bo jest między nami wielka różnica.

Major.

Różnica? — Czy dlatago, żeś doktór, to masz jaki sekret?

Bańkowski.

Mój kochany! na zdrowie w późnym wieku jeden

jest tylko sekret, to jest, porządnie przebyta młodość.— Jakem był lekarzem w waszym połku, tom pilnował tylko chorych i książek; a wy, szukaliście miłostek, nieżałowaliście życia i wyszafowaliście przed czasem siły i zdrowie.

Major.

A! pleciesz. Ja jestem zdrów i silny. (poprawia się i prostuje, potém chwyta się za kolano.) A! a!

Bańkowski (śmiejąc się.)

A widzisz!

Major.

A któż temu winien, jeżeli nie ty i wasza medycyna, która jeszcze jest w pieluszkach, że mnie z romatyzmu wykurować niemożecie?

Bańkowski (wstaje.)

Nie romatyzm to, kochanku, ale cóś gorszego.— I jak się niebędziesz szanował, jak będziesz myślał o takich rzeczach, których barki twoje niezniosą, to ci żadna medycyna niepomoże.

Major.

Gadaj ty sobie co chcesz, a ja swoje zrobię.— Tak zostać niemogę. Samotność zabija mnie. Potrzebuję mieć kogoś koło siebie, któregobym kochał,

któryby mnie kochał, coby mi oczy zamknął, komu bym zostawił fortunkę, jaką mi Bóg dał, a któréj szkoda dla tych srok, co już rachują w myśli moje listy zastawne, i chciałyby co prędzéj rozgospodarować się w Kątach wielkich i małych.

BAŃKOWSKI (patrząc na niego seryo.)

Więc tak mocno ją pokochałeś?

MAJOR

Mówiłem ci, że to jest jakieś uczucie dziwne, którego sobie wytłumaczyć niemogę.—Coś tak świętego i tkliwego, że gdybym miał jaki inny środek przywiązania jéj do siebie, nie małżeństwo, tobym to chętnie uczynił.

BAŃKOWSKI.

A ona cię kocha także?

MAJOR.

Otóż to mnie najwięcéj zastanawia, żem w téj młodéj i ślicznéj kobiécie, potrafił obudzić uczucie, którego ukryć niemoże, i którego zresztą taić niechce. Jak dziwnie słodkiém, jak rzewném, czasem pełném czci i miłości, jest jéj wejrzenie, tego ci wypowiedzieć niezdołam. Troskliwość jéj o to wszystko, co mi miłe i przyjemne, niezna granic.—A gdy czasem,

chcąc jéj podziękować za jéj przywiązanie, wezmę jéj rączkę i pragnę ją do ust przytulić, zanic na to niepozwoli; owszem, rzuca się z uczuciem na moją rękę, usta jéj dotykają się z uniesieniem, a czasem i łza tkliwa spada tak gorąco, i tak mnie przenika, że i w moich oczach łzy się zakręcą i nieśmiem bronić jéj téj uciechy, która i dla mnie jest najwyższą rozkoszą.— (odwraca sie i ociera łzę.)

BAŃKOWSKI (po chwili.)

Dziwna rzecz! — wątpię, żeby to było aktorstwo. Za młoda na takie sztuki, i z ocz jéj patrzy dobroć i szczerość. Zresztą Jagnicki jest zanadto uczciwy człowiek, aby na cóś podobnego pozwolił i planik jakiś uknuł.

MAJOR.

Nie, nie, to być niemoże.— Znam się trochę na tém, i nieprzywiązałbym się tak serdecznie do kokietki zimnéj i interesowanéj. Tu jest prawda tak szczera, jak szczerą jest twoja przyjaźń. Muszę więc i sobie dogodzić i jéj zapłacić ostatkiem życia za tę miłość, która mnie szczęśliwym robi. Zresztą, mam jeszcze inny powód zlać na nią wszystkô, co mam. Może mi to wyjedna przebaczenie za grzech młodości, który mi zawsze cięży na sumieniu.

BAŃKOWSKI.

A tož znowu co?

Major (patrząc nań z uśmiechem.)

Pamiętasz nasz ostatni pobyt w Krasnym-Stawie w 1830 roku?

Bańkowski.

Jakżebym o tém zapomniał! Pamiętam, jak dziś, jak nam tam było dobrze.

Major

Pamiętasz zapewne i ten dworek za kościołem, z ogródkiem?

Bańkowski (uśmiechając się.)

Twoją kwaterę u téj poczciwéj wdowy Sieńkowskiéj? Naturalnie, że pamiętam, a także i śliczną pannę Maryannę, jéj córkę, która ci pewnie jeszcze lepiéj tkwi w pamięci, jak mnie. Romansik ten widzieliśmy wszyscy, i koledzy zazdrościli ci takiego kąska, więcéj jak awansu i szwadronu.

Major (ruszając ramionami.)

Ba! Ułanom nic innego nieprzychodzi do głowy. Ale niebył to romansik taki, jak się wam może zdawało. Rok cały kwaterując u jéj matki, miałem czas poznać czego warta, i szanowałem równie pokój staréj i schorowanéj kobiéty, któréj ta córka była jedyném dobrem, jak i honor panienki, którąm szczerze pokochał, odpłacając jéj sercem całem za to

przywiązanie, jakie do mnie powzięła. Siadaj no, i nieuśmiechaj się, bo ci mówię prawdę.

Bańkowski (siadając.)

A gdzież ten grzech, od którego zacząłeś?

Major (seryo.)

Niemiałem sobie nic do wyrzucenia, aż do dnia 2 Grudnia 1830 roku.—Pamiętasz zapewne ten dzień, kiedy sztafeta przyleciała do półkownika, i wmgnieniu oka wieść o tém, co się stało w Warszawie, rozbiegła się po miasteczku. Przypominasz sobie zapewne, że w godzinę potém, trąbka apelu rozległa się po ulicach, że ordynanse rozbiegły się z rozkazem do szwadronistów po wsiach okolicznych, żeśmy nazajutrz o godzinie piątéj rano, mieli być wszyscy na koniach. Gdym w moim szwadronie wszystko przygotował, wszystko urządził, wszystko opatrzył; gdym zmęczony, z ciężkiemi myślami, o godzinie dziesiątéj w nocy wrócił do domu, zastałem starą Sieńkowskę już śpiącą, bo choréj kobiécie nic nie powiedziano; ale córka czekała mnie, już wiedziała o wszystkiém, postrzegła ruch żołnierzy, i domyślała się, że zaraz ruszymy.— Gdym wszedł, zastałem ją w piérwszym pokoiku płaczącą, i przerażoną tą myślą, że mnie więcéj niezobaczy.— Usiadłem więc przy niéj, zacząłem w nią wmawiać nadzieję, jakiéj

sam niemiałem; rozmawialiśmy długo. — Nazajutrz, gdym już siedział na koniu i hufiec mój prowadził, wspomnienie grzesznego zapomnienia się, przyłączyło do tych wszystkich niepokojów, jakie mnie dręczyły.

Bańkowski.

Czekaj no!.... czy wiész, że ta młoda kobiéta z rysów i ułożenia, przypomina cokolwiek tamtą.

Major

Otóż właśnie to podobieństwo, było i dla mnie piérwszym powodem zajęcia się nią, kiedy przed kilku miesiącami przyjechała do wuja swojego z pod Łomży i u niego zamieszkała. — Łamałem sobie głowę, dochodziłem do kogo podobna, a tymczasem wbijałem sobie jéj twarz w pamięć; i nareszcie, gdym doszedł, tém milszą mi się stała, tém mocniéj ją pokochałem. — Niedziw się więc teraz mojemu postanowieniu. — Grzech popełniony względem tamtéj, którąm kochał, któréj odebrałem pokój i honor, a o któréj zapomniałem, — chcę zapłacić téj, któréj przypadek dał twarz podobną i takie same serce.

Bańkowski.

Uczciwym pretekstem pragniesz pokryć niewczesne zachcenie, którego możesz pożałować. Jako przyjaciel nieżyczę, jako lekarz odradzam. Ja umywam

ręce. Jak będzie źle, i powiesz: miałeś racyą, to wtedy.....

MAJOR (niekontent, porusza się mocniéj i chwyta sią za kolano.)

A! a!

BAŃKOWSKI (śmiejąc się.)

A widzisz! — Wtedy powiem ci: trzeba było słuchać.

MAJOR (rozcierając kolano.)

Mniejsza tam o to, bylem nieumarł starym kawalerem, i żeby tę wrony.....

(wchodzą PODSĘDKOWA i p-na JAGNISZKA.)

ale cicho — już idą. — Teraz znowu jestem bardzo chory.—Potakuj mi, proszę cię, i zostaw nas potém samych.

Scena III.

MAJOR, BAŃKOWSKI, PODSĘDKOWA, Pna JAGNISZKA.

MAJOR (oglądając się na zbliżające się zwolna kobiéty—słabym głosem.)

Aj! mój Bańkosiu! to jakaś dziwna atonija.

BAŃKOWSKI (powstając.)

A! więc to ty na atoniją jesteś chory?

MAJOR (do Bańkowskiego.

Niebądźże głupi! i przybierz minę zafrasowaną.

PODSĘDKOWA (do Bańkowskiego.)

To p. brat na atoniją chory, p. konsylijarzu?

BAŃKOWSKI.

A tak, i boję się bardzo, że będzie jeszcze słabszy.

Pna JAGNISZKA.

Czy to choroba niebezpieczna? p. doktorze!

BAŃKOWSKI.

Jak dla niego z takiemi myślami, jakie ma w głowie, to bardzo niebezpieczna.

PODSĘDKOWA.

Właśnie my też przychodzimy, żeby mu te myśli wybić z głowy.

Pna JAGNISZKA.

Bo to go może zgubić.

MAJOR (słabym głosem.)

Siądźcież, panie siostry.— (siadają.) Przepraszam

was, że się tak u mnie nudzicie.— Ale cóż począć, kiedy ze mną źle, bardzo źle!

PODSĘDKOWA (do p-ny Jagniszki)

Słyszysz, z nim źle.

Pna JAGNISZKA (do Podsędkowéj.)

Słyszę, bardzo źle.

MAJOR.

Zgasło ci sygaro, Bańkosiu!—Zapal sobie.—Jeszcze do obiadu z parę godzin. Niezepsuje ci apetytu.

BAŃKOWSKI.

Niechcę paniom przykrości robić.

Pna JAGNISZKA.

W rzeczy saméj, ja dymu nieznoszę.

MAJOR

A tak, Jagusi to szkodzi, i dla tego nie jedną partyę odrzuciła. Bo teraz wszyscy palą.

PODSĘDKOWA.

Gdzie tam dla tego.

Pna JAGNISZKA. (z obrazą)

Pani siostra lepiéj wié ode mnie.—Czy dla tego, czy nie dla tego, dosyć że w rzeczy saméj odrzuciłam nie jedną.—

MAJOR.

Ja też to powiedziałem nie żartem. Bo mnie teraz nie do żartów wcale.—Oh! oh! (pochyla się i obciera czoło.)

BAŃKOWSKI (n. s.)

Niewiedziałem, że on taki znakomity* aktor. (głoś.) Pójdę do sali z sygarem, a z tamtąd troche do ogrodu.

MAJOR.

Tylko nieodchódź daleko, mój Bańkosiu! — bo może będziesz potrzebny.— Ach! co to jest życie człowieka, zwłaszcza w takim wieku.

BAŃKOWSKI.

No, no, bądź spokojny, nieprzestraszaj się, to przejdzie.

MAJOR

Dziękuję ci, że mnie uspokajasz.—Tylko te drzwi za sobą zamknij, żeby niebyło przeciągu.

BAŃKOWSKI. (odchodząc.)

Zamknę, zamknę.

PODSEDKOWA (idzie za nim.)

P. konsylijarzu! czy pan pewny jesteś, że to przejdzie?

BAŃKOWSKI (ruszając ramionami.)

A! wszystko jest w mocy Bożéj — myśmy tylko ludzie. Ale gdyby było gorzéj, proszę mię zawołać. (wychodzi do sali.)

Pna JAGNISZKA (podchodząc do siostry.)

Co mówił doktór?

PODSĘDKOWA (ciszéj)

Ruszył ramionami.

Pna JAGNISZKA (j. w.)

Ruszył ramionami?

PODSĘDKOWA. (j. w.)

Ruszył i rzekł, że wszystko jest w mocy Bożéj. Widocznie jest źle.

Pna JAGNISZKA. (j. w.)

Musi być bardzo źle.

MAJOR (n. s.)

Poczciwe! jak one się cieszą w duszy. — (głośno.)

Chodźcież tu panie siostry i siądźcie koło mnie.— (obie siadają.) Może już niedługo będziemy razem.— Bo ja się czuję coraz słabszym. Ale obecność tak przywiązanych krewnych jak wy, głos waszéj miłości i zdrowéj rady, będzie mi zapewne zbawiennym w téj chwili, i kto wie, może mnie więcéj umocni, niż lekarstwa, które już nieskutkują.—Ach! pozwólcie niech odetchnę. (bierze ze stolika chutskę i zrzuca kluczyki swoje na ziemię; Podsędkowa podejmuje kluczyki, a major wyciąga po nie rękę.)

PODSĘDKOWA (oddając mu kluczyki.)

Co to, to p. brat ma racyą, że obecność przywiązanych krewnych, ich miłość....

Pna JAGNISZKA.

I głos zdrowéj rady, więcéj pomoże, niż lekarstwo.

PODSĘDKOWA.

To też téj rady p. bratu niepożałujemy, bo mamy nadzieję, że jeszcze przyda się.

Pna JAGNISZKA.

Mówić będziemy tak, jak nam dyktuje serce i dobro p. brata, którego kochamy.

MAJOR (słabo)

Dziękuję wam za wasze poczciwe intencye. Słuchać

was będę i rad jestem, że was teraz przynamniéj widzę.— Szkoda wprawdzie, żeście nieprzyjechały dawniéj, bo bym zapewne uniknął pomyłki, któréj żałuję.

P[na] JAGNISZKA. (do siostry)

A widzisz p. siostro! a mówiłam jedźmy.

PODSĘDKOWA (do p-ny Jagniszki.

Cicho bądź, jeszcze czas. (głośno.) P. bracie! nieprzyjechałyśmy wcześniéj, bośmy niechciały ci się naprzykrzać, bośmy się bały, żebyś niepomyślał, iż wątpiémy o twojéj łasce dla nas.

P[na] JAGNISZKA.

Wcale nie dla tego, tylko że p. siostra zajęta była swoim synem, który nieskończył Marymontu.

PODSĘDKOWA.

A ty swoim romansem, który....

MAJOR.

Oh! dajcież pokój. (n. s.) Pokłócą się baby i popsują mi rolę. (głośno.) Jakakolwiek była przyczyna, dosyć, że złe stało się, które teraz pragnąłbym naprawić, żebym tylko miał siły. (kładzie kluczyki na stole i przykrywa je chustką, którą się obcierał; po chwili niby przychodząc

do siebie, mówi:) Już przeszło, posłuchajcie mię teraz: (one słuchają z natężeniem) Wiecie, jak mię ciężko obraził Walerek, któregom wychował, i któregom chciał przyznać za syna i cały mu spadek zapewnić.

PODSĘDKOWA.

Niestety! niepamiętałeś wtedy o nas p. bracie, kochających cię siostrach.

Pna JAGNISZKA

Dla przybłędy, chciałeś się wyrzec krwi własnéj.

MAJOR.

To też zostałem za to ukarany przykrością, jaką mi jego niewdzięczność sprawiła. W pierwszym żalu, i przekonawszy się, że on przywiązania mego niewart, zrobiłem testament...... oh!

PODSĘDKOWA (z natężeniem.)

Zrobiłeś p. bracie?!...

Pna JAGNISZKA (prędko.)

Testament, panie bracie?

MAJOR (z boleśnym uśmiechem.)

Czekajcie, głosu mi niestaje. (po chwili) Otóż zrobiłem

testament, w którym, pomijając tego łotra, a znając wasze bez interesowne przywiązanie, wam zapisałem całą moją fortunę.

PODSĘDKOWA.

Oceniłeś nasze prawa, i uradowałeś tém matkę, mającą takiego syna.

Pna JAGNISZKA.

Postąpiłeś jak przywiązany krewny, boś wiedział, że ja w moim dziewiczym stanie zostać niemogłam.

MAJOR.

Tak, wiedziałem, że wam to wyjdzie na dobre; cóż, kiedy los chciał inaczéj.— Tego testamentu już niéma.

PODSĘDKOWA i Pna JAGNISZKA (razem.)

Niéma?!

MAJOR.

Zniszczyłem go, a na jego miejscu, jest inne rozporządzenie.

PODSĘDKOWA.

O dla Boga!

Pna JAGNISZKA.

Inne rozporządzenie!

MAJOR.

Przypadek zrządził, że przed trzema miesiącami przybyła tu siostrzenica Jagnickiego, mojego ekonoma.

Pna JAGNISZKA (do podsędkowéj)

A widzisz p. siostro! mówiłam, że to ona.

PODSĘDKOWA.

Cicho! — mów p. bracie.

MAJOR.

Musiałyście ją widzieć. Kobiétka młoda, śliczna, z rozumem, amatorka róż, tak jak i ja, podobała mi się, zajęła mię, słowem — zakochałem się.

PODSĘDKOWA.

Ty p. bracie! w twoich latach? mając takie siostry!

Pna JAGNISZKA.

W twoim wieku zakochać się w takiéj... Oh! p. bracie! dobrześ powiedział, że zdrowa rada przywiązanych krewnych będzie ci bardzo potrzebna.

MAJOR.

Łajcie mnie, łajcie, bo ja sam czuję, żem wart tego. Alem był samotny, nikogo z krewnych przy

mnie niebyło. A teraz, zakochawszy się, jak to często starym kawalerom i starym pannom przychodzi do głowy to głupstwo, postanowiłem z nią ożenić się.—

PODSĘDKOWA.

Wszelki duch!

Pna JAGNISZKA.

O! moje przeczucia!

MAJOR (słabnąc coraz i przerywając.)

I zrobiwszy takie postanowienie... tym bardziéj, żem widział, że i ona mi sprzyja..... przekazałem jéj cały mój majątek, sporządziwszy formalny akt, który jest....

PODSĘDKOWA.

Który jest?

MAJOR (słabnąc.)

Tam.... tam..... w moim.....

Pna JAGNISZKA.

Gdzie p. bracie? w tém biórku?

MAJOR.

W biór........ Oh! już daléj niemogę. Słabo mi bardzo..... (pochyla się w tył i zamyka oczy.)

Podsędkowa (zrywa się)

Panie bracie! zmiłuj się! ten akt?

Pna Jagniszka (powstaje.)

Ten akt, p. bracie! (głośniéj.) p. bracie, na miłość Boską!

Podsędkowa (załamuje ręce)

Nieodzywa się.... przymknął oczy..... zemdlał— Jezus Marya! ten akt.... kluczyki gdzie?

Pna Jagniszka.

Kluczyki? miałaś je w ręku—o niészczęście! może skonał, a ten akt zgubi nas—szukaj kluczyków.

Podsędkowa (znajduje pod chustką.)

Są, są— chodź, ten akt trzeba zniszczyć.

Pna Jagniszka (ogląda się na majora.)

Trzeba koniecznie.... chodź tylko prędzéj. (idą obie do biórka, dobierając śpiesznie kluczyki i niemogąc znaleść, nieuważają, co się za niémi dzieje. Tymczasem major otwiera oczy, uśmiecha się, wstaje, idzie za niémi i wyprostowany, stanąwszy, mówi silnym głosem:)

Major.

Niefatygujcie się, moje kochane siostry. Oto jest ten kluczyk, który otwiera to biórko. — Oddajcież

i tąmte, bo wam się na nic niezdadzą. (obie przerażone cofają się i upuszczają klucze. — Major je podejmuje, chowa, i patrzy z uśmiechem)

PODSĘDKOWA (po chwili.)

A! p. bracie! tak nas oszukać! niegodziło się.

Pna JAGNISZKA

A! p. bracie! tak nas przestraszyć! niegodziło się doprawdy.

MAJOR.

A! panie siostry! tak kochać moje biórko, żeby je wprzódy otwierać, niż konającego brata ratować, to także niegodziło się. — Ale dziękuję wam, żeście mi otworzyły oczy do reszty.— Teraz wiecie, czego się macie ode mnie spodziewać. (idzie szybko do drzwi sali.) Bańkosiu! chodź, już po mszy i po kazaniu. (klaszcze i otwiera drzwi do przedpokoju, wołając silnie.) Marcin! Józefowa! (wchodzą: z jednéj strony BAŃKOWSKI, z drugiéj MARCIN i JÓZEFOWA.)

Scena IV.

MAJOR, BAŃKOWSKI, PODSĘDKOWA, Pna JAGNISZKA, JÓZEFOWA i MARCIN.

JÓZEFOWA.

Chryste Jezu! Co się tu stało, że pan takim

głosem woła? (patrząc na wyprostowanego majora.) To W^{ny} pan taki chory? no, no!

MARCIN

Co W^{ny} pan każe?

MAJOR (do Marcina.)

Daj mi surdut! (Marcin podaje, on zrzucając szlafrok i odziewając się.) Przepraszam was, panie siostry.

BAŃKOWSKI.

Co tobie jest, żeś taki jakiś odmłodniały?

MAJOR.

Co mi jest? Oto powiem ci, żem zdrów i wesół, jak już dawno niebyłem. Moje panie siostry dały mi takie lekarstwo, przy którem wszystkie twoje plastry, proszki, mixtury i pigułki, i funta kłaków niewarte.—A co obiad, moja Ładosiu? (głaszcze ją.)

JÓZEFOWA.

A będzie, będzie za małą godzinkę.

MAJOR (poglądając na krewne swe.)

Dysponowałem barszcz z wieprzowiną, bigos hultajski i pieczeń cielęcą, wszak tak?

Józefowa.

A tak, proszę Wgo pana.

Podsędkowa (n. s.)

Bigos hultajski! zginęłam.

Major.

Pamiętaj że, żeby to wszystko było smaczne, bo mam wilczy apetyt.

Pna Jagniszka. (n. s.)

Ma wilczy apetyt! przepadłam.

Major (do Marcina.)

A ty, stary, ruszaj na folwark i poproś na obiad Jagnickiego, z jego śliczną siostrzenicą. Rozumiesz?

Marcin.

Ba! i jak jeszcze!

Major.

Potém pójdziesz do piwnicy, masz tu klucz. (daje mu klucz.) Z prawéj framugi przyniesiesz dwie zapleśniałe butelki. I to, rozumiesz?

Marcin.

To jeszcze doskonaléj rozumiem.

Major (klepiąc go po ramieniu.)

Wypijemy przy obiedzie za zdrowie tych, co mnie kochają dla mnie samego, a nie dla mojego biórka. Wypijemy także za zdrowie starych i poczciwych sług, którzyby radzi, żebym żył jak najdłużéj.— No, ruszajcież się, żebym był kontent. Chodź Bańkosiu! nim dadzą obiad, odwiedzimy moje róże. Panie siostry! jeżeli łaska, czekam was u stołu. (Bierze pod rękę Bańkowskiego i wyprostowany wychodzi do sali.—Marcin i Józefowa patrzą z minami przekąsu na odurzoną podsędkowę i p. Jagniszkę. Zasłona spada.)

AKT 4[ty]

(Ten sam pokój majora.)

Scena I.

MAJOR, BAŃKOWSKI, pod koniec sceny MARCIN.

BAŃKOWSKI (siedząc z sygarem i patrząc z uśmiechem na przechadzającego się majora.

Jakiś niespokojny jesteś, kochany kolego! Czoło się twoje marszczy, zamyślasz się, mało mówisz.— Niestało ci nawet konceptu z Józefową, która widocznie nieaprobuje twoich konkurów; ani z Marcinem, który radby może żeby ci się udało. Widać, ta wdówka jest u niego w łaskach i wolałby może, żeby była panią, niż klucznica, do któréj zwykle starzy kawalerowie......

MAJOR (przerywa.)

Niegadaj no nic do rzeczy, proszę cię. Właśnie mi to w głowie.

BAŃKOWSKI.

A cóż ci w głowie? — bo niezaprzeczysz, że cię cóś dręczy i jakieś cię fatalne trwogi ogarniają. — Czy cię to niepokoi, że twoje panie siostry po wczorajszéj scenie i wczorajszym obiedzie, którego im niezazdroszczę, postrzegłszy, że tu niemają co robić, wyjechały nadąsane i przebąknęły cóś o prawie?

MAJOR (ruszając ramionami.)

Co za głupstwo! cóż im prawo pomoże? Przykra to wprawdzie rzecz, że tych jedynych krewnych moich, ani kochać, ani szacować niemogę — ale to, nie to wcale.

BAŃKOWSKI.

Cóż to u djabła być może? Widziałem wczoraj, jak ta młoda i śliczna kobiecina na ciebie poglądała, choć była pod strażą twoich sióstr, które ją niespuszczały z oka i śledziły złośliwie każde jéj poruszenie.

MAJOR (z zajęciem.)

I cóżeś dostrzegł?

BAŃKOWSKI.

Dostrzegłem, że ona by się nieulękła ani twojego wieku, ani tych rzadkich i siwych włosów, które tak jakoś teraz ładnie układasz, jakbyś je fryzował, ani

tego szarpania w kolanie, które ty masz za romatyzm.— W jéj ślicznych oczkach jest cóś takiego, co mówi, że do ciebie przylgnie, że cię będzie pielęgnować, i przebaczy ci wiele rzeczy, jeżeli się pokaże, żeś słuchał tylko serca, które się niezestarzało, a nie słuchał rozumu i doktora.

MAJOR (który z początku słuchał z uśmiechem, przy końcu marszczy się i machnąwszy rękąmi, mówi prędko i z mocą.)

Zawsze swoje! W tym razie, powinieneś być więcéj moim przyjacielem, jak doktorem.—Jako doktór możesz się mylić i sądzić z pozorów. Niekażdy starykto posiwiał przed czasem. Ale jako przyjaciel, widzisz dobrze, że to dla mnie szczęście, że ją tu widocznie Bóg zesłał, aby opromieniła słodkim blaskiem, koniec mojego życia, i dała mi te pociechy, jakich dotąd niemiałem. Nieżartuj z tego, co ja mam za rzecz bardzo seryo, i nie za tak głupie i niewczesne, jak ci się wydaje.

BAŃKOWSKI (wstając.)

Czyś ty mówił już z nią o swych zamiarach i pewny jesteś, że ona oświadczenie twoje przyjmie?

MAJOR

Niemówiłem, niemogłem się zdobyć na tyle

odwagi, zresztą wiele razy miałem już cóś podobnego na języku, jéj oczy podniesione ku mnie ze czcią i miłością, mówiły mi, że prośba ta, jest niepotrzebną.

BAŃKOWSKI.

A z Jagnickim zapewne mówiłeś, i z téj strony przeszkody niéma.

MAJOR

Otóż to właśnie, że obawiam się przeszkody ztąd, zkąd ty jéj nieprzewidujesz. I to jest powód mojego niepokoju, któryś postrzegł, i którego ukrywać niechcę.—Dziwny, ten stary! Wiele razy mówiłem z nim o jego siostrzenicy, zawszem widział, że go serdecznie raduje, że mi się ona podoba, że ją cenię tak, jak warta, że ona okazuje dla mnie przywiązanie i cześć, w któréj on ją sam umacnia. Ale gdym parę dni temu, chciał ściągnąć rozmowę do tego, o co mi głównie idzie, uważałem, że stary jakby wzdrygnął się na tę myśl, którą odgadywał, i zaraz zwracał mowę do obowiązków moich względem tego hultaja, któregom wychował, a który się stał miłości mojéj niegodnym. To mię rozgniewało; i na tém się skończyła rozmowa nasza wczoraj i dziś rano, kiedym chciał z nim stanowczo pogadać.

BAŃKOWSKI.

Uczciwy to i bezinteresowny człowiek, ten Jagnicki.—Fenix między ekonomami.

Major.

Zapewne, jest to uczciwość, jest bezinteresowność. Wierzę, że takie są jego pobudki, bo jużci do wszystkich djabłów, innych mieć niemoże. On przecież nie doktór, żeby miał takie jak ty obawy. Ale zawsze skrupuły to przesadzone, niedorzeczne i zostaną bez skutku.— Niech sobie gada, co chce, ja temu sowizdrzałowi nieprzebaczę nigdy, że mię tak zawiodł, że się stał łajdakiem, wtedy, kiedym ja tyle serca, starań i pieniędzy na to wyłożył, aby został człowiekiem, coby mi przyniosł pociechę i honor. Mój Bańkosiu! weź na konfesatę staregó i wybadaj co on ma przeciwko temu, co jest mojem najgorętszém życzeniem, czego i siostrzenica jego niezawodnie pragnie. Znasz moje względem niéj intecye. Wszystko co mam jest dla niéj, bylem mógł ją mieć przysobie, na nią patrzeć, słyszeć jéj głos i być pewnym, że jéj zemną dobrze, że ona a nie kto inny zamknie mi oczy, gdy przyjdzie pora. (bierze jego rękę.) No, nie patrz no tak, ale weź tę sprawę do serca i rozmów się z nim. Posłałem po niego, on tu zaraz przyjdzie. A za to, jak ci Bóg da drugiego syna, upiję się solennie, choćbym miał chorować, tak, jak na pierwszych u ciebie chrzcinach.

Bańkowski.

Wreszcie zrobię jak chcesz, ale pod jednym warunkiem.

MAJOR (uradowany.)

Na wszystko przystaję.—Pod jakim że?

BAŃKOWSKI (ironicznie.)

Oto, jeżeli znowu u ciebie przyjdzie....(zatrzymuje się.)

MAJOR (poruszając się żywiéj.)

Co? do chrzcin? drogi Bańkosiu! A! a! (chwyta się za kolano i woła do wchodzącego Marcina.) Zamykaj drzwi, stary głupcze! przeciąg.

BAŃKOWSKI (śmiejąc się.)

Chciałem ci położyć za warunek, że mnie wtedy niebędziesz zmuszał do picia. Ale niéma niebezpieczeństwa.

MAJOR (krzywiąc się.)

Obaczymy. Zrób no tylko to, o co cię proszę (do Marcina.) Czy Jagnicki?

MARCIN.

A jest, proszę Wgo pana.

MAJOR.

Proś że go, i nieprzeszkadzaj tu. (Marcin wychodzi kiwając głową.) Bądźże moim adwokatem gorącym, serdecznym.—A obaczysz, jak dobrą zrobisz przysługę

przyjacielowi, który cię od lat tylu kocha. Ja w swoim pokoju czekać będę.— Jak przyjdzie czas, to mnie zawołaj. Mój Bańkosiu! polegam na tobie, jak na Zawiszy.

Bańkowski.

No, no, dobrze, tylko niepatrz teraz w zwierciadło.

Major.

A to czemu?

Bańkowski.

Bobyś obaczył, jak głupio wygląda stary kawaler zakochany.

(Major machnąwszy ręką wychodzi na prawo. Jagnicki wchodzi.)

Scena II.

Bańkowski, Jagnicki, (w środku sceny) Marcin.

Bańkowski (podając mu rękę.)

Jak się masz, kochany p. Jagnicki?

Jagnicki.

Sługa uniżony p. konsyliarza.— Mam się, dzięki Bogu, dobrze. Jak niéma kłopotów, a to co człek ułoży, jakoś idzie powoli, to i zdrowie przybywa.

BAŃKOWSKI

I doktór wtedy tak potrzebny, jak piąte koło u wozu.

JAGNICKI (uśmiechając się.)

Nie tak, p. konsyliarzu! Bo doktór, jeżeli już przez komparacyą trzeba się wyrazić, podobniejszy do pieca, jak do piątego koła, które w żadnym razie nie zda się na nic. Kiedy człek zdrów, to o doktora niedba, kiedy jest lato, to się od pieca odwraca. Ale niech no przyjdzie choroba, albo zima, to się garnie do nich i tuli, bo inaczéj przepadłby z kretesem. Ale co tam! p. konsyliarz sobie żartuje, a tam p. major musi mieć do mnie jakiś pilny interes, bo przysyłał żeby przyjść zaraz.

BAŃKOWSKI

A ma, ma, p. Jagnicki, i interes bardzo ważny, który mnie powierzył, — usiądźmy no, i pomówmy o tém. (siada.)

JAGNICKI (siadając i uśmiechając sie.)

Cóż by to takiego było, że aż p. konsyliarza potrzebował używać za medyatora.

BAŃKOWSKI.

Uśmiechasz się, p. Jagnicki, a dopytujesz się. Jabym za to trzy grosze niedał, że się domyślasz o co idzie, a przynajmniéj domyślisz się, gdy dodam,

że go ten interes więcéj obchodzi, jak jego róże, w których się tak kocha, a które twoja siostrzenica tak umiejętnie pielęgnuje.

JAGNICKI (uradowany przygładza czupryne,)

No, teraz, to może się i domyślam, kiedy pan konsyliarz o mojéj siostrzenicy wspomniał, i cieszę się, że przychydzi do objaśnienia. Bo też sam miałem dziś, lub jutro, pomówić z majorem o tém, co jeśli się ułoży tak, jak pragnę, podziękuję P. Bogu, jak za największe dobrodziejstwo.

BAŃKOWSKI (chce powstać.)

Ponieważ tak mówisz, kochany p. Jagnicki, to niemamy o czém gadać, a wezmijmy lepiéj majora, który tam niecierpliwie czeka.

JAGNICKI (zatrzymuje go.)

Niech no p. konsyliarz będzie łaskaw zatrzyma się jeszcze. Zdaje mi się, że się nierozumiemy, i w chęciach i widokach naszych niejesteśmy zgodni.

BAŃKOWSKI.

Czyż p. Jagnicki tego niewidzi, że major dla siostrzenicy jego powziął serdeczne przywiązanie?

JAGNICKI.

I owszem, widzę to, tego pragnąłem, nim tu jeszcze przyjechałem, i że tak się stało, dziękuję P. Bogu, jako za najwyższą nagrodę za moje życie, jeżeli było poczciwe i bez skazy.

BAŃKOWSKI.

A tegoż, kochany p. Jagnicki, niewidzisz, że i twoja siostrzenica choć młoda i piękna, przywiązała się także do majora, bez względu, że on przeszło trzydzieści lat od niéj starszy, i że niecieszy się takiém zdrowiem, któreby od wszelkiéj dolegliwości było wolne.

JAGNICKI.

I to widzę, i niedziwię się temu bynajmniéj, bo to jest jéj obowiązkiem, tém łatwiejszym dla niéj do spełnienia, że trudno niepokochać człowieka, którego serce tak szlachetne i poczciwe, a obchodzenie się ze wszystkiemi, którzy mu służą, takie, że każdego do wdzięczności nakłania.

BAŃKOWSKI.

A więc, jeżeli tak jest, to przyjmiesz, kochany p. Jagnicki, oświadczenie majora o rękę twojéj siostrzenicy, które ci przezemnie czyni.

JAGNICKI.

A niech że Bóg uchowa, żeby dłużéj miał tę

myśl, na którą się wzdrygam, i któréj nigdy niemiałem. Nawet....

Bańkowski (prędko podchwytując.)

Jest to zapewne skrupuł z twéj strony uczciwy i szlachetny. Niechcesz aby pomyślał, że przywiązanie wasze jest interesowne, masz nadzieję, że major wychowańcowi swemu przebaczy, i niechcesz go pozbawić spadku, który on cały przezemnic siostrenicy twojéj zapewnia. Ale niech się sumienie twe zaspokoi, ktokolwiek cię zna, nieposądzi cię o to, żeś to ukartował umyślnie, w interesowanym celu. A siostrzenica twoja, jak zostanie panią serca majora i panią jego fortuny, niezapomni o tym obłąkanym sowizdrzale, którego szkoda, bo chłopak z sercem i z głową.— No, kochany p. Jagnicki, major czeka odpowiedzi Jakąż mu zaniosię?

Jagnicki (podnosząc głowę)

Nim p. konsyliarz zaniesie mu odpowiedź, jakiéj się niespodziewa, pozwoli mi kilka słów powiedzieć o sobie?

Bańkowski.

Mów, p. Jagnicki, słucham cię.

Jagnicki.

Przed osiemnastu laty straciłem bezdzietnego stryja, który mi zostawił kilkanaście tysięcy zebra-

nych uczciwą pracą w obowiązku u dobrego pana, któremu służyliśmy oba. Widząc się właścicielem takiego funduszu, który mi się wówczas wydawał wielkim, bo były siły do podwojenia go, porzuciłem służbę i kupiłem sobie pod Hrubieszowem jeden z tych folwarczków, które ś. p. Sztaszyc dla niezamożnych ludzi urządził. Zaprowadziłem gospodarstwo, pracowałem gorliwie i szło mi jakoś nieźle.— Ale wkrótce przekonałem się, że mi samemu ciężko, że mi potrzeba jeszcze kogóś, coby mi pomagał, i podzielał się ze mną dobrem, jakie mi Bóg dał, i które rosło widocznie. Była wtedy w Hrubieszowie młoda jedna wdowa, która mi wpadła w oko. Mieszkała ona w ustronnym dworku u staréj krewnéj swéj; utrzymywała z pracy rąk siebie i czteroletnią siostrzeniczkę swą, i znana była w miasteczku z obyczajów, skromności, i jakiegoś dziwnego smutku, który wszyscy widzieli, choć nikt nieznał jego przyczyny. Krótko mówiąc, poznałem się z nią, pokochałem ją całem sercem, i po długich korowodach, przemogłszy nareszcie wstręt jéj do małżeństwa, ożeniłem się. Bóg dał mi w niéj anioła, który wprowadził błogosławieństwo do mojego domu. Niemieliśmy prawda dzieci, ale było zdrowie i dostatek, wszystko mnożyło się i kwitło, a dziewczynka ta, którą ona niezmiernie kochała, którą i ja pokochałem serdecznie, rozwijając się i rosnąc, zastępowała nam brak potomstwa. Nazywała się ona Julija.

Bańkowski.

Julija?

Jagnicki.

Tak p. konsyliarzu. Gdy po kilku latach powróciła do domu ze Szczebrzeszyna, gdziem ją tam na pensyi edukował, już jako siedmnastoletnia panna, piękna i ślicznie ułożona, wtedy przypatrując się jéj, postrzegłem znaczne podobieństwo w rysach i ruchach do mojéj żony, czegom pierwéj nieuważał. I przyszła mi myśl, która mi wytłumaczyła jéj osamotnienie, jéj smutek, jéj wstręt do oddania mi swéj ręki, jéj miłość niewymówną do sieroty, którą przygarnęła. Ale niedałem po sobie poznać, com pomyślał, i Bóg widzi, że to odkrycie nieumniejszyło na włos mojego przywiązania do kobiéty, która była dla mnie taką żoną, jakiéj drugiéj niebyło na ziemi. (ociera łzę i odwraca się—potém poglądając na Bańkowskiego) Ale za długo mówię.

Bańkowski.

Nic, nic, słucham cię, p. Jagnicki, z całem zajęciem.

Jagnicki.

W rok potém, zjawił się w Hrubieszowie jeden młody człowiek, który postrzegł to, że nasza Julcia była najpiękniejszą panienką w całéj okolicy. Przybył on tam z Warszawy ze swym przyjacielem, młodym utracyuszem, dziedzicem pięknéj wsi, w sąsiedztwie

naszem leżącéj; i niemając się gdzie podziać, wisiał przy nim straciwszy wszystko co miał, i rozgniewawszy dobroczyńcę, który go wychował. — Był to chłopak przystojny, z twarzą ujmującą i poczciwą, z wejrzeniem, z którego łatwo było widzieć rozum i serce. Przypadek zdarzył, a zresztą kto to wie p. konsyliarzu, co znaczy przypadek, że i nasza Julcia postrzegła w nim także te przymioty.— Krótko mówiąc, młodzi ludzie, po widzeniu się zrazu zdaleka i szukaniu się ustawiczném, pokochali się serdecznie. Miłość głęboka i prawdziwa, opamiętała młodego utracyusza.— Wziął się on do pracy, zajął się gospodarstwem swego przyjaciela i stał się niezmiérnie użytecznym koledze, który go do siebie przygarnął, wtedy, gdy był bez grosza i bez dachu. Postrzegłszy skłonność Julci, śledziłem jego postępowanie, ucieszyłem się poprawą, pozwoliłem mu bywać u nas, i przyszło do tego, żem go i sam pokochał, że go i żona moja polubiła i że się młodzieniec oświadczył. Naturalnie, wówczas zapytaliśmy się co on za jeden, jakie ma środki i jakie nadzieje. Wtedy ów p. Walery....

BAŃKOWSKI (z zadziwieniem)

Walery?

JAGNICKI.

To jego imie, p. konsyliarzu. (z uśmiechem) Ale zapewne p. konsyliarz, którego imie to zastanowiło, i który zna dobrze okoliczności tego domu, wié o kim mówię?

Bańkowski. (z zajęciem.)

Więc to ów Walerek Łazowski, wychowaniec majora, ów sowizdrzał, co go tak rózgniewał?

Jagnicki.

On sam, p. konsyliarzu! dziś człowiek porządny, żałujący za grzechy młodości, i czekający przebaczenia, które mu, da Bóg, wyjednamy, w czém nam zapewne i p. konsyliarz pomoże.

Bańkowski.

Z całéj duszy, p. Jagnicki, z całéj duszy. A taż śliczna Julcia, co takiego cudu dokazała?

Jagnicki.

Została jego żoną, i przyczynia się także do wyjednania mu przebaczenia.

Bańkowski (powstając.)

Przyczynia się? Więc to ta, p. Jagnicki, która jest tu, i którą major tak kocha?

Jagnicki (powstając także.)

Ta sama, p. konsyliarzu! I to właśnie był cel, dla którego tu jesteśmy oboje. Dla tego to przed trzema laty, starałem się tak usilnie dostać się do

majora, aby zyskać jego ufność i przychylność; dla tego później sprowadziłem ją tu pod obcem nazwiskiem i z innéj okolicy, aby się wcisnęła do jego serca, i czcią i przywiązaniem, wywołała tę miłość, którаby jéj oddała jéj prawa. Jeżeli to był podstęp, to mnie go widać Bóg przebaczył, kiedy takim skutkiem usiłowania moje uwieńcza.

Bańkowski (uradowany.)

Ani wątp o tém, kochany p. Jagnicki. Wracasz tym sposobem majorowi spokój i rozum. I pozwól, żebym jako jego stary przyjaciel, uściskał cię za to serdecznie. (ściska go.)

Major (odchyla drzwi swoje — n. s.)

Brawo! ściskają się.— Widać rzecz blizka końca. (cofa się i przymyka drzwi.)

Bańkowski.

Spieszę teraz do majora, z tak dobrą nowiną.

Jagnicki (zatrzymując go)

Za pozwoleniem. Jeszcze p. konsyliarz niewie rzeczy najważniejszéj.

Bańkowski.

Najważniejszéj? Mów że, mów, p. Jagnicki.

JAGNICKI.

Gdy moja żona dowiedziała się od Walerka, kto on jest, i usłyszała nazwisko majora, pobłogosławiła młodzieńca, i prosiła go głosem, w którym dziwne postrzegłem drzenie, aby nas zostawił samych. Wtedy przyciągnąwszy mnie do siebie i patrząc mi w oczy tym anielskiém wejrzeniem, którego nie zapomnę, póki żyć będę, wyznała mi to, czegom się domyślał. Płacząc i na kolanach zaczęła mię błagać, abym jéj przebaczył, że mnie oszukała; że nigdy niebyła wdową; że Julija niejest jéj siostrzenicą, ale jéj córką, że to owoc grzesznego zapomnienia się w chwili strasznéj i bolesnéj, kiedy się żegnała z tym, którego kochała, który nadużył jéj zaufania i potém o niéj zapomniał.

BAŃKOWSKI (chwyta jego rękę.)

P. Jagnicki! więc to córka Maryni Sieńkowskiéj?

JAGNICKI.

I córka majora, p. konsyliarzu!

BAŃKOWSKI.

O Boże! jakże mię to raduje! — A twojaż żona, p. Jagnicki?

JAGNICKI.

Stoi teraz przed Bogiem, i także zapewne raduje się. (ze łzami.) Przed dwoma laty umarła.

BAŃKOWSKI (patrząc nań z rozrzewnieniem i biorąc jego rękę.)

Tyś zacny człowiek, p. Jagnicki! nieodmawiaj mi swojéj przyjaźni. O! szczęśliwy majorze! cóż to za wieść dla ciebie? (JULIJA wchodzi śpiesznie.)

Scena III.

BAŃKOWSKI, JAGNICKI, JULIJA.

JULIJA

Czy można?

BAŃKOWSKI.

Można, można. (przypatruje się jéj z zajęciem.)

JULIJA (kłania się Bańkowskiemu i bierze na bok Jagnickiego.)

Ojczuniu!

JAGNICKI.

Czegożeś tak blada i przestraszona?

JULIJA.

Nierozgniewaj się ojczuniu! daruj mu, że on przestąpił twój zakaz. Niemógł już bezemnie wytrzymać.

JAGNICKI.

Co? kto?

JULIJA.

Walerek przyjechał.

JAGNICKI (prędko.)

Gdzie on? czy widział go kto?

JULIJA

Nikt go niewidział.—Zostawił konie w miasteczku, sam przybiegł przez łąkę i przez ogród folwarczny, do twojego pokoju. Uściskałam go tylko, i zamknęłam w twojéj kancelaryi, i przybiegłam tu bez duszy, żeby ci powiedzieć. — Tu masz klucz, ojczuniu! Co robić?—uspokój mię—drzę cała, tak jestem przelękniona i szczęśliwa.

JAGNICKI (biorąc klucz.)

No, no, uspokój się!—Wszystko będzie dobrze.

JULIJA (uradowana.)

Oh! (ogląda się na Bańkowskiego, który jéj nie spuszcza z oka.) Przepraszam pana, żem przeszkodziła. Ja zaraz pójdę.

BAŃKOWSKI.

I owszem, zostań pani.— Będziesz tu potrzebną. (bierze jéj rękę.) Tak, o tak, teraz widzę to, jak ona przypomina matkę.

JULIJA.

Matkę..... moją matkę? (chwyta drząc rękę Jagnickiego.) Więc wie o wszystkiém?

JAGNICKI.

Wie, moje dziecię — ale niedrzyj że tak!

JULIJA.

Oh! (głośniéj i obracając się do Jagnickiego.) A ojciec?

BAŃKOWSKI.

Zaraz się dowie! (wchodzi do pokoju majora.)

JULIJA (składając ręce i padając na krzesło)

O Boże! Boże! zlituj się nademną! daj mi wytrzymać tę radość, jak dawałeś moc w niepewności i trwodze. (zakrywa twarz mocno płacząc — MARCIN wchodzi.)

Scena IV.

JAGNICKI, JULIJA, MARCIN.

MARCIN (zbliżając się ze spuszczoną głową.)

To rzecz osobliwa! jak żyję, nic mi się podobnego niezdarzyło. (pogląda na płaczącą Juliję.) Ale i tu cóś nie

wesoło.—Cóś się i tu musiało zrobić, czego ja jeszcze niezmiarkowałem.

Jagnicki (poglądając na drzwi majora)

Cóż to ci się zdarzyło, Marcinie?

Marcin

Powiem jegomości, bo to tam, na folwarku, to może to jegomość jakoś lepiéj rozpatrzy.

Jagnicki.

Mów że, mów, tylko prędko.

Marcin.

Ot widzi jegomość, jak mi pan tu powiedział: idź sobie i nieprzeszkadzaj, to też wziąłem wędkę i poszedłem za ogród pański do kanału na łąkę.—Aż patrzę, z brzezinki Malinieckiéj wybiega jakiś panicz. Obejrzał się, nasunął czapkę na oczy i prosto przez łąkę pobiegł do ogrodu jegomościnego.—Przypatruję się, rychtyg p. Walery.

Julija (n. s)

O Boże! widział go. (powstaje.)

Marcin.

Żegnam się, i myślę sobie, czy to mara, czy to

prawda. Chciałem krzyknąć, ale by nieusłyszał, bo było opodal, i od wielkiéj radości, że nasz kochany panicz po tylu latach znalazł się, głosu mi niestało. On tymczasem pobiegł nieoglądając się, i jak dopadł jegomościnego płotu, hyc jak zając i przepadł. Wtedy ja opamiętawszy się, i z miny i z ruszenia widząc, że to nie kto inny, tylko nasz Walerek, pobiegłem co tchu do pańskiego ogrodu, tam spotkałem Józefowę, powiedziałem jéj com widział, i oboje wpadliśmy do jegomościnego ogrodu.—Prześliśmy go, ja na prawo, ona na lewo, szukali wszędzie, zaglądali do jegomościnego pokoju, wołaliśmy: panie Walery! Walerku! paniczu! jak kamień w wodę. Niéma go, i nasza radość była daremna. Widno to jakieś przewidzenie.—Może biédnemu chłopcu co złego się zdarzyło; może w tym samym momencie, jak mówią, że to czasem bywa, pokazał mi się na to, żebym pacierz za niego zmówił. (obciera łzy.)

Julija (n. s.)

Poczciwy człowiek! o! co to za słudzy! (ogląda się na drzwi majora—Józefowa wchodzi zasmucona.)

Scena V.

Jagnicki, Julija, Marcin, Józefowa.

Marcin.

A co? niéma?

JÓZEFOWA.

Et! daremniem się tylko zlatała, że aż poty na mnie biją, i ucieszyłam się, że jak on tu będzie, to taki wygadam i wykrzyczę, że mu pan przebaczy i da się przeprosić. A tobie, stary głupcze! cóś przywidziało się tylko i basta. Oh! ledwiem żywa. (siada i obciera czoło.—W pokoju majora słychać wykrzyknienie.)

JULIJA (przystępuje do Jagnickiego)

Ojczuniu! tam głos jego.

JAGNICKI.

Cicho bądź!

(Drzwi raptem otwierają się i MAJOR wypada, a za nim BAŃKOWSKI.)

Scena Ostatnia.

CIŻ, MAJOR i BAŃKOWSKI. (przy końcu) WALERY.

MAJOR.

Gdzie ona? moje dziécie! moja córka!

JULIJA (biegnąc do niego.)

Ojcze mój! Ojcze! (rzuca się w jego objęcia, potém schyla się do nóg jego.)

MAJOR (podnosi ją i przypatrując się jéj.)

Moja! o! tak tyś moja! ty masz serce i twarz

swojéj matki. Zapłacę ci miłością nad wyrazy tę winę, jaką zgrzeszyłem względem tamtéj.—A ona mi przebaczy tam, zkąd, na szczęście twoje, patrzeć będzie.

JAGNICKI.

P. majorze! ona ci grzech ten przebaczyła umierając.

MAJOR (ściska jego rękę.)

Stary! zacny! poczciwy przyjacielu! niech ci Bóg płaci za tę radość niewymówną, jaką mi ta chwila daje. Ale czemuż mi tego od razu niepowiedziałeś?

JAGNICKI.

P. majorze! byłżebyś mnie tak uwierzył, jak wierzysz teraz? Oprócz swéj twarzy, ona innéj metryki niema.

MAJOR

A teraz wszystkie siły mojego serca mówią za nią. O! dziękuję ci. (ściska jego rękę.)

MARCIN (n. s.)

Tego to już ja niezmiarkowałem.

JÓZEFOWA (n. s.)

Chryste Jezu! co tu się dzieje.

Bańkowski.

Majorze! według słów pacierza, kto chce, aby mu wszystko przebaczono, powinien sam przebaczyć wszystko. Jest jeden jeszcze grzesznik, kochany majorze, który zdaleka ztąd, czeka twojego głosu.

Julija (pada na kolana i składa ręce.)

Ojcze! przebacz mu, że mnie pokochał.

Major.

Walerek! twój mąż?

Jagnicki.

On pracą i życiem uczciwem, zatarł szaleństwa młodości.

Julija.

On wart twego serca, ojcze drogi!

Major (podnosząc ją.)

I ty go kochasz?

Julija (tuląc się do ojca.)

Prawie, prawie tak, jak ciebie, mój ojcze!

Major (wzruszony.)

Jagnisiu! posyłaj że co prędzéj sztafetę do tego hultaja. Kiedy ona go tak kocha—przebaczam mu.

JULIJA.

Nietrzeba, ojcze! on jest tu.

MAJOR (uradowany.)

Tu? gdzież on? czemuż go niewidzę?

JULIJA (w unicsieniu.)

O! najlepszy ojcze! ty go kochasz jeszcze tak, jak mnie. (okrywa pocałowaniami rękę majora.)

JAGNICKI (daje klucz Marcinowi.)

Marcinie! biegaj do mojéj kancelaryi i przyprowadź panicza, któregoś wziął za marę.

MARCIN.

Więc on tam?

JÓZEFOWA

Chryste Jezu! i pani jego żona?

JULIJA.

Tak, tak, moi kochani, jego żona.

MARCIN.

Ta sama, za którą W^ny^ pan tak na panicza rozgniewał się, a potém panią tak pokochał, że ja myślałem sobie........ (śmieje się)

Julija.

Ta sama, ta, ale idź już, idź.

Marcin (śmiejąc się uderza się w czoło.)

O! barania głowo! że też ja tego niezmiarkowałem. (wychodzi spiesznie.)

Józefowa.

Teraz i ja panią kocham, a wprzódy myślałam sobie to i owo.

Major (przyciąga do siebie Julije.)

Kochajcie ją, kochajcie, bo to anioł, który się stanie pociechą mojéj starości.

Bańkowski.

Aha! teraz przyznajesz się, żeś stary?

Major (z dumą.)

Ale nie stary kawaler, Bańkosiu. I niebój się, odmłodnieję ja wśród tych dzieci, które mi Bóg odzyskać pozwolił. Nieupijesz się na chrzcinach mojego syna, ale stary kolego! upijesz się jak bella, na chrzcinach mojego wnuka, na to ci daję oficerskie słowo.— Józefowa! przyrządź no prędzéj dla młodéj pary pokoje, które zajmowały moje panie siostry, o których także niezapomnę. — Komu Bóg dał tak

wielkie szczęście, niepowinien żałować marnego grosza, aby ucieszyć tych, co więcéj myśleli o sobie, niż o nim. (do Jagnickiego.) A ty stary! któremu to wszystko winienem, przenieś się tu, abyś był bliżéj mnie i bliżéj naszych dzieci. — Do gospodarstwa, znajdzie się kto inny.—Nam czas odpocząć i patrzeć na tych, co młodsi i rzeźwiejsi, krzątać się za nas będą. A gdy nas wiek nachyli i siły opadną, słodko nam będzie widzieć, jakeś mówił, jak za nas pracuje syn, jak koło nas chodzi córka; miło nam będzie wesprzeć się na ich ramieniu, i tak dążyć do mogiły, dziękując Bogu, że mamy komu zostawić owoc swojéj pracy, że kochające ręce rzucą grudkę ziemi na naszą trumnę. (drzwi się raptem otwierają, wchodzi Walery, za nim Marcin.)

Julija.

Walerku!

Józefowa.

Panicz! o Boże słodki! (siada płacząc—Walery rzuca się do nóg Majora. Julija klęka przy nim z drugiéj strony—zasłona spada.

Koniec.

K. 844/56

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA TORUŃ

Biblioteka Główna UMK
300020951743

20 -
2/1156/390